

II/1605/I Kondukt

© ARCHIWUM WSCHODNIE

ANNA MAKOWSKA

WSPOMNIENIA Z ZESŁANIA. KAZACHSTAN 1940 - 1946.

Ojcu, Mamie i wszystkim, którzy tam cierpieli.

1. POŻEGNANIE Z OJCEM. /PRUŻANA/ ARCHIWUM WSCHODNIE

Wraz z rozpoczęciem wojny kończy się moje szczęśliwe dzieciństwo. Pierwsze dni września 1939 r. przejmowały mnie trwoga. Nie wiedziałam co się dzieje. Słyszałam powtarzane, w rozmowie mamy z ojcem, słowa- wojna, Niemcy, Rosjanie. Później zrozumiałam niepokój rodziców, ich długie rozmowy do późnej nocy. Dziwiło mnie to, że mama nie pozwalała mi wychodzić na spotkanie powracającego z pracy ojca. A przecież czyniłam to przedtem codziennie. Tak bardzo kochałam swojego tatę. O określonej godzinie biegłam na spotkanie z nim a on na powitanie szeroko rozkładał ramiona, brał mnie na ręce i niósł do samego domu. Całowałam go, ściskając mocno jego szyję. Był to mój kochany tatuś.

Skończyło się moje wspaniałe dzieciństwo. Ojciec wracał teraz z pracy o różnej porze, czasami nawet w nocy. Jakiś niepokój wkraść się do naszej rodziny. Mama często płakała, tato patrząc na nas miał oczy pełne smutku. Pewnego dnia zajechała pod nasz dom furmanka, tato załadował najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechaliśmy na wieś, około 3 km od Próżany /Polesie/, w której dotychczas mieszkaliśmy. Miało to być bezpieczne miejsce. Zamieszkaliśmy u chłopa, którego tato bardzo chwalił, mówiąc, że jest porządnym, dobrym człowiekiem. Znacznie później, w rozmowie z mamą, dowiedziałam się, że trafiłyśmy w samą paszczę lwa. Był to zagorzały kryptokomunista. Z wkroczeniem wojsk sowieckich rozpoczął natychmiast współpracę z władzami wojskowymi. Wkraczające wojska witał, niosąc na ramieniu ogromną czerwoną flagę. Miał ją już wcześniej przygotowaną i schowaną w swoim domu. Przypominam sobie /ze zgrozą/ fakt, że nawet mnie wziął ze sobą na to powitanie, trzymał mnie za rękę, a do sukienki przypiął mi czerwoną kokardkę /okropne!/. Mama niesłownie sprzeciwiła się temu. Zbyt dobrze rozumiała naszą sytuację.

Kilka dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich, a może na tydzień wcześniej, odwiedził nas tato, z karabinem na ramieniu. Był bardzo krótko. Przyjechał pożegnać się z rodziną. Była to dramatyczna chwila. Zostawiał na pastwę losu żonę i troje dzieci. Siostra miała wówczas 14 lat, skończyła II klasę gimnazjum, ja - 10, skończyłam trzecią klasę szkoły powszechnej a brat nippelne 4 miesiące. Rodzice byli tacy szczęśliwsi po urodzeniu się brata, gdyż pierwszy syn zmarł im na zapalenie płuc, mając 6 lat. Szczęście było krótkotrwałe. Ojciec rozstając się z rodziną, był świadom niebezpieczeństwa, na jakie byliśmy narażeni.

Mama żegnając się powiedziała: „Lepiej zastrzel nas teraz, masz przecież karabin, wiesz dobrze co nas czeka, zostawiasz rodzinę na niechybną śmierć”. Ojciec odpowiedział: „Trudno Wandziu, jeśli zginieśmy, to za ojczyznę!” Oczywiście rozmowę tę przytoczyłam z opowiadań mamy. Jednakże w mojej pamięci pozostanie do końca życia moment pożegnania mamy z ojcem w postaci obrazu, który niezmiennie wyrazisty od lat przybliża mnie do tych ukochanych osób... Nały wiejski domek, ogrodzony niskim drewnianym płotkiem, przy którym stał oparty rower ojca. Na rogu chaty przy oknie stał tato, jednym ramieniem obejmował mamę, na drugim podtrzymywał zsuwającą się strzelbę. Odjechał wiejską, ocienioną drzewami drogą w kierunku Prużany. Odjechał na zawsze, już więcej go nie widzieliśmy.

Po wroczeniu wojsk sowieckich, gospodarz, u którego mieszkaliśmy, oświadczył mamie, że musimy przenieść się z powrotem do miasta, bo tam tworzy się już władza wojskowa i będziemy bezpieczniejsi. Natomiast na wsi on nie może odpowiadać za nasze życie. Już wówczas słychać było o różnych przypadkach napaści i mordowaniu polskich rodzin. Część naszego dobytku ^{porozstrawił} (jako zapłatę za pobyt u niego, resztę rzeczy załadował na furmankę i zawiózł nas do mieszkania wynajętego wcześniej przez mamę. Nasze poprzednie mieszkanie /były to domy urzędnicze, cała tzw. kolonia/ było już zajęte przez zupełnie obcych nam ludzi. Pozostało w nim część mebli i rzeczy, których już nie odzyskaliśmy. Straciliśmy w ciągu kilkunastu dni ojca, dom i nasz dobytek. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji materialnej, w obcym środowisku, wśród ludzi mało życzliwych, nie tylko z powodu ograniczonej możliwości niesienia pomocy materialnej /większość mieszkańców odczuwała już brak żywności/, ale i ze strachu, jaki pojawiał się wśród ludzi wywoływany przez coraz bardziej panoszących się Rosjan. Kontakty z tymi, którzy byli napiętnowani przez sowiecką władzę, były zbyt niebezpieczne a jak się niebawem okazało, tacy napiętnowani byliśmy również i my. Nadeszła pierwsza wiadomość od ojcu. Przekazał ją mamie jakiś nieznamy mężczyzna. Tato przebywał w więzieniu w Brześciu. Został wzięty do niewoli wraz z innymi znajomymi z Prużany, po krótkich walkach /chyba koło Kobrynie/ z wojskiem sowieckim. Nieznajomy powiedział, że za kilka dni mają ich wywieźć, dokąd nie wiedział. Druga wiadomość to list od ojca z Ostaszkowa. Otrzymaaliśmy go w listopadzie 1939 r. Ojciec pisał, że czuje się dobrze, warunki

bytowe ma również dobre /czy mógł napisać inaczej, tak, jak było naprawdę?/. Wspominał również, że są z nim pp. Nadstawek, Sobota, Banaś, Wasilewski. Była to chyba aluzja do mamy rady, żeby tato trzymał się Nadstawka i innych kolegów, gdyż pochodzili oni z Poznańskiego. Mama liczyła na to, że w razie niebezpieczeństwa będą starali się uciekać na tereny zajęte przez Niemców, jak najdalej od Wschodu. Stało się jednak najgorzej, co mogło się stać. Płask więc, że przebywał razem z nimi i nikomu nie udało się uniknąć tego losu...

Dla pełnej jasności opisaney sytuacji muszę się cofnąć w historii naszej rodziny do roku 1919, kiedy to mama, jako młoda mężatka /miała wówczas 21 lat/ wraz z ojcem i synkiem osiemnastoletnim uciekała z okolic Mińska na Białorusi razem z cofającym się wojskiem polskim. Zostawili cały swój majątek, bliską rodzinę, zabierając jedynie ze sobą swego pierworodnego synka. Pozostali mamy rodzice i pięciu braci w bardzo młodym wieku- najmłodszy /14 lat/ ~~zmarł w młodości~~ został później zesłany wraz z żoną i dziećmi na dożywocie do kopalni w Donbasie, gdzie mimo starań rodziny przebywa do dziś. Następny został rozstrzelany bez sądu i wyroku gdzieś w okolicach Mińska /może w Kuropatach?/. Dwóm udało się później uciec do Polski i przez dłuższy czas mieszkali razem z mamą, aż założyli własne rodziny i odeszli na swoje. Piąty brat mamy umarł w więzieniu sowieckim. Mama jako młoda kobieta przeżyła więc już bardzo wiele i w dwadzieścia lat później powróciły jak żywe te tragiczne wspomnienia. Starzała się więc, żegnając męża, dać mu wskazówki i uchronić przed Rosjanami. Jednak stało się i po dwudziestu latach szczęśliwego życia w Polsce tafił w ich ręce i już nigdy nie wrócił.

Drugą wiadomość od taty otrzymaliśmy w lutym 1940 r. Była to karta pocztowa i krótka wiadomość, że żyje i czuje się dobrze, że martwi się o nas. Te drogocenne pamiątki nie zachowały się. Całą korespondencję taty, wszystkie jego dokumenty oraz swoje mama spaliła, gdy została przez kogoś uprzedzona, że jesteśmy na liście osób przeznaczonych do wywózki, na zsyłkę. Zdawała sobie ^{sprawę} z obciążającego charakteru tych dokumentów, gdyby zostały one znalezione podczas rewizji. Później dowiedziałam się, że tą życzliwą osobą była Polka utrzymująca kontakty "towarzyskie" z władzami. Radziła ona, by na okres, w którym Rosjanie naciliłi aresztowania, zmienić miejsce zamieszkania, wyjechać na wieś. Nieszczęście było nas na to stać. Za ukrycie bądź przeprowadzenie przez

granicę trzeba było płacić ogromne sumy a nam brakowało już ~~każ~~ środków do życia. Mama pogodziła się z losem i czekała na jego spełnienie.

2. RANEK 13 KWIECZNIA 1940 r.

Głośnie, niecierpliwe stukanie w szyby okienne. Na pytanie mamy- "kto?" pada odpowiedź w języku rosyjskim- "otwierać!" Do domu weszło dwóch wojskowych, jeden pozostał na zewnątrz z karabinem nastawionym w pogotówiu do strzału. Po szybkim sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń, jeden z nich wyjął dokument i odczytał: "Wy ariestowani so wsiej siemiej" /Jesteście aresztowani z całą rodziną/. Słowa brzmiały groźnie, miało się wrażenie, że wypowiedzianie ich sprawia mu przyjemność. Na przygotowanie się wyznaczono pół godziny. Każda dorosła osoba mogła według ich prawa zabrać ze sobą 100 kg bagażu. W naszej sytuacji oznaczało to tylko 100, gdyż jedyną dorosłą była mama.

Mimo, iż mama była przygotowana psychicznie na taką sytuację, zdenerwowanie paraliżowało ruchy, ograniczało podejmowanie rozsądnych decyzji. Usiadła, zapaliła papierosa, uspokoiła się nieco, pierwszy szok mijał. Zaproponowała "sołdatom" po kieliszku wódki. Wypili po kilka i atmosfera służbowa nieco złagodniała. Nawiązała się rozmowa. Buźo pomogła dobra znajomość języka rosyjskiego u mamy. Doradzali co należy zabrać ze sobą, co jest niezbędne. Wiedzieli dokąd nas wywiozą, znali warunki, w jakich nam przyjdzie żyć, lecz poza uwagami dotychczasowymi przygotowań do podróży niczego więcej mama nie zdołała się dowiedzieć.

Nie zwracali już uwagi na wyznaczony limit wagowy bagażu. Kazali mamie zabrać trzy duże dywany wełniane mówiąc, że na miejscu sprzeda i kupi za nie żywność /mieli rację/.

Siostra moja, najstarsza z nas, ~~kręka~~ siedziała na łóżku i płakała. Płakał również mój mazy braciszek nagle obudzony o tak wczesnej porze i wystraszony przez ~~chałaśliwie~~ zachowujących się ludzi. Tylko ja jedna szykowałam się do podróży ze spokojem, nie zdając sobie sprawy z tragicznej sytuacji. Mój tornister nie chciał zapiąć się od przekadowania; były w nim książki, zabawki i inne ulubione drobiazgi. Na ręce wzięłam ogromną lalkę, którą

dostałam w prezencie krótko przed wybuchem wojny. Nie pamiętam co później z nią się stało. ■

W takiej atmosferze szykowała się do podróży mama. Wrzucała bezładnie ubrania do dużego worka; do drugiego włożyła pościel i bieliznę pościelową a w walizki zapakowała nasze rzeczy dziecięce.

Bagaż stały już gotowe, kiedy usłyszeliśmy warkot nadjeżdżającej ciężarówki. Zatrzymała się przed naszym domem, żołnierze szybko załadowali nasze rzeczy na samochód. Ludzie zaskoczeni nieprzewidzianą sytuacją w wielkim pośpiechu popakowali swój dobytek. Powiązane rzeczy w toboły, wrzucone bezładnie na ciężarówkę wypełniały ją po brzegi. Siedzący na platformie ludzie wciągnęli za ręce mnie i siostrę. Mamie z dzieckiem na ręku, kazano usiąść przy kierowcy. Żołnierze usiedli po bokach, z tyłu samochodu, trzymając w rękach karabiny. Ruszyliśmy wprost na dworzec kolejowy, gdzie stały już przygotowane wagony bydlęce. Na niebie zarysowywał się świt. Był to dzień 13 kwietnia 1940 r.

3. WIELKA NIEWIADOMA

Nieszczęście przeżywane w dużej grupie łatwiej się znosi. Nie wydaje się tak groźne. Spotykamy wiele rodzin znajomych, zaprzyjaźnionych. Ładują nas na wagonu, w którym są już przygotowane prycze drewniane po lewej i prawej stronie, środek bardzo wąski, wolny. Deski wmontowano piętrowo, o ile dobrze pamiętam, w trzech rzędach i mama zajęła miejsce najwyższe. Były tam dwa małe zakratowane okienka /naprzeciwko siebie/. Można było przez nie zobaczyć malutki światek po jednej i drugiej stronie wagonu. Niedaleko drzwi wycięta w podłodze dziurka służyła jako ubikacja. Szybko udoskonalono to miejsce, na otwór postawiono wiadro z wyciętym dnem i oddzielono od reszty wagonu kocami. W każdym wagonie umieszczono po 10-15 rodzin. Było duszno, ciasno i śmierdząco. Przed wagonami stało pełno ludzi. Zgiełk, krzyk, płacz. Kobiety, dzieci, gdzieś tam wi-

dać mężczyzną w starszym wieku. Żona starosty, przywieziona z matką i córką, podobno zwariowała. Chodziła wzdłuż wagonu tam i z powrotem, opasana paskiem, na którym zawiesiła kilka par butów, trzymała się za głowę dłońmi i głośno płakała. Nie wiem co się z nią stało, do wagonu n~~ie~~ wsiadła.

Ludzi przywożono cały dzień. Ze względu na znajomość rosyjskiego wybitano mamę starostą wagonu. W tym dniu nie otrzymaliśmy żadnego posiłku. Na szczęście znalazł się ktoś bardziej przewidujący i zabrał ze sobą maszynkę spirytusową. Postarano się o wodę, którą gotowano w małych ilościach i obdzielono przede wszystkim dzieci. Pewne zapasy jedzenia mieli chyba wszyscy. Krótco przed wyjazdem mama kupiła połówkę wieprzka, zrobiła wędliny, część słoniny zasoliła i wszystkie te zapasy /w małej wanience/ zabrała ze sobą. Część tego prowiantu, głównie wyroby położyła przy sobie na pryczy, reszta, która pozostała z rzeczami na dole, została zjedzona przez współtowarzyszy niedoli bez zgody mamy. Dzięki tym zapasom mieliśmy zapewnione j~~ę~~żenie na kilkanaście dni. Brat karmiony był jeszcze pierśią i t~~o~~zdrowe pożywienie na razie nie ograniczane pomogło mu przetrwać trudy podróży.

Minał dzień, ucichły krzyki i płacze. Teren przed wagonami opustoszał. Samochody nie kursowały, nie przywoziły "przestępców". Wieczorem zatrzaśnięto drzwi wagonów i zamknięto na zasuwę.

Odgłos zamykanych drzwi, oddalający się i cichnący, był przez cały okres naszej w~~ędr~~anki podróży oznaką, że ruszamy z miejsca postoju. ~~Na~~ Na dużych stacjach nie otwierano wagonów w ogóle. Ruszyliśmy w drogę, w nieznaną. Znalizśmy tylko kierunek - na wschód.

4. SPOTKANIE

Pierwsza, k~~o~~szmarna noc w wagonie. Ilekroć budził mnie ze snu łomot zderzaków zatrzymującego się pociągu, widziałam nie~~ś~~piącą mamę, która siedząc musiała się pochylać do przodu z powodu ciasnoty pomiędzy pryczą a dachem. Na naszej pryczy leżało jeszcze kilka osób, było ciasno i duszno. W dalszej podróży tę uciążliwość udało się zlikwidować. Przy drzwiach odbito nieco ~~ś~~ęskę, którą odsuwano, otwierając zatrzaśk od zewnątrz, dzięki czemu można było otworzyć nieco drzwi, pozostawiając mniejszą lub większą szparę.

Pilnujący nas żołnierze nie mogli tego zauważyć, bo w czasie postoju deska wracała na swoje miejsce.

Pilnowano nas tylko od zewnątrz na postojach. Myślałem, że gdyby jechali z nami młodzi mężczyźni, ucieczka byłaby zupełnie możliwa.

Dłuższy postój wypadł w Mińsku. Otrzymałiśmy tam wiadro gorącej zupy i drugie wiadro wrzątku na herbatę. Był to przystanek na cały wagon. Z kosketem otwierano kolejne drzwi, wiadra wędrowały do środka i z powrotem drzwi zasuwano. Kiedy przyszedła kolej na nasz wagon, mama odbierając wiadra, zapytała strażnika czy może porozmawiać ze stojącą nieopodal kobietą. To, że mama zwróciła się do niego po rosyjsku i to poprawnie, wywarło na nim bardzo korzystne wrażenie. Zeswolił na rozmowę i przywołał tę kobietę bliżej wagonu. Mama zwróciła się do niej z następującą prośbą: "Na ulicy Gruszevski Piercułok mieszka rodzina o nazwisku Lipień /Był to starszy brat ojca/, proszę powiedzieć, że chcę ich zobaczyć." Po tej rozmowie kobieta, mimo, że była w starszym wieku, szybko pobiegła. Wcześniej mama dowiedziała się, że w Mińsku będzie kilkugodzinny postój. Strażnik stojący cały czas przy naszym wagonie po rozmowie zatrasnął drzwi. Nie pozostało nic innego jak czekać przy górnym okienku. Siostra i ja nie o tym zdarzeniu nie wiedziałyśmy, zauważyłyśmy tylko pełne zdenerwowania oczekiwanie. Dość szybko wróciła kobieta, odnalazła nasz wagon i powiedziała, że była na tej ulicy, rozmawiała z "gospodincem" a on powiedział, że nikogo nie zna o takim nazwisku. Mama podziękowała, ale od okienka nie odeszła. Niespodziewanie odsunęła się od wagonu i zatrzymała nieopodal jakby na coś czekając. W pewnym momencie pokazała komuś nasze okienko. Przystąpił starszy pan, wysoki, przystojny z ogrobną siwiejącą brodą i długimi włosami, z laseczką w ręku. Spytał strażnika, czy może podejść bliżej. Gdy mu pozwolono i stanął przy wagonie, rzucił spojrzeń na mamę pytając, nie poznając jej po dwudziestu latach rozłąki. Mamę włosy były prawie siwe, choć miała zaledwie 42 lata. A pamiętał swoją bratową o kruczooczarnych włosach, młodej, prawie dziecięcej twarzy. Mama drzącym głosem wymówiła jego imię a potem swoje. Jego usta poruszyły się, powtórzył kilkakrotnie - Wanda. Na jego policzkach pojawiły się łzy. Mama rozpłakała się także a za nią my. Był to pierwszy upust śladu na nasze krzywdy. Szybko jednak rozszedł wiatr górną nad uczuciami. Przecież trzeba było przekazać jak najwięcej wiadomości. Rozmowa

musiała być oględna, gdyż strażnik stał dość blisko, a rozmowa odbywała się w języku rosyjskim. Stryjek nie mógł opanować wzruszenia i choć słuchał uważnie tego, co mówiła mama, płakał nie ocierając nawet łez. Wreszcie zapytał: "Gdzie mąż, gdzie Wincenty?" Nie wiem, czy dotarła do jego świadomości odpowiedź, czy ją zrozumiał. Jego twarz była smutna, zatroskana, lekko kiwał głową. Doskonale pamiętam ten obraz. Nie odeszłam nawet na moment od małej szparki, jaka mi pozostała w okienku i nie spuszczałam wzroku z jego twarzy. Taki był podobny do mojego ojca. Nieco starszy od taty, nie uciekł do Polski razem z rodzicami, nie chcąc stracić majątku. Pozostał w Mińsku i stracił wszystko, żyjąc w tym systemie grozy i lęku do końca swych dni.

Poprosił o pokazanie dzieci. Mama pokazywała kolejno nasze twarze w oknie: Alinka- najstarsza, Anna /to ja i takie imię miała jedyna siostra taty, mieszkająca też w Mińsku/ i Stanisław /nasz mały brat był bardzo podobny do taty/. W tym czasie przyszła zasapana ze zmęczenia żona stryja z dużym bochenkiem chleba i kanką mleka. Jak to kobieta nie straciła głowy i wiedziała, co w takiej chwili sytuacji jest najbardziej potrzebne. Nie mogła przez szloch wymówić niczego, prócz mamy imienia. Żołnierz odebrał to, co przyniosła i pośadał do wagonu. Następnie kazał im oddalić się, gdyż transport szykowany do odjazdu. Stryj zapytał jeszcze, czy przekazać pieniądze razem z żywnością. Mama odmówiła. Stali oboje ze stryjenką w oddaleniu i patrzyli na odjeżdżający pociąg.

Ze strony mamy była to wielka nieostrożność, naraziła ich bowiem tym spotkaniem na niebezpieczeństwo szykan ze strony władz. Mogli również trafić na sztykę lub do więzienia. Później, po spokojnym rozważeniu, bardzo żałowała tego kroku. Pisała z Kazachstanu do nich kilka listów, ale nie było żadnej odpowiedzi. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

5. URAL

Oddalaliśmy się coraz bardziej od rodzinnych stron. Pociąg jechał bardzo wolno, nie więcej jak 25-30km/h. Na niektórych odcinkach drogi tak zwalniał, że można było iść obok, nadążając za nim. Były też częste postoje na bocznicach lub wręcz na pustej przestrzeni. Żadnych kontaktów z ludźmi miejscowymi, spoza transportu. Zdani byliśmy całkowicie na własną żywność i posiłek podany przez "bajców"/żołnierzy/. Nasze zapasy kończyły się. Mimo braku ruchu jeden posiłek dziennie /i to nie zawsze/ nie wystarczał. Zaczynał dokuczać głód. Ludzie dzielili się swoimi zapasami, chroniąc przed głodem przede wszystkim dzieci. Pamiętam, że codziennie dostawałam, od sąsiadujących z nami osób, landrynkę, która mi tak smakowała jak nigdy dotąd. Byłam zawsze niejadkiem, więc ze zmniejszonej racji byłam zadowolona, ale bardzo odczuwałam brak słodczy i innych ^{warzyw} /owoców/. Szybko oswoiliśmy się z nowym trybem życia. Brak ruchu rekompensowałam sobie schodzeniem po pryzkach na podłogę i z powrotem, chociaż nie było to zbyt bezpieczne. Dzięki tym wędrownym poznakałam rówieśników i czas mijał szybko.

Pewnego dnia dał się zauważyć szczególnie ruch wśród pasażerów naszego wagonu. Większość tłoczyła się przy szparze rozsuniętych drzwi. Słychać było okrzyki zachwytu: "Jakie wspaniałe góry, cóż za widok!" Ktoś wymówił ich nazwę - URAL!... Potężna pasma gór w blasku słońca, wieniące się różnymi kolorami. Przy tej szparze nie mogło oczywiście zabraknąć i mnie; wszystko, co dotyczyło przyrody, chłonęłam z zapartym tchem. To, co zobaczyłam, nie daje się opisać słowami. Podobne odczucia, fascynację pięknem krajobrazu, przeżywałam w późniejszych wędrowniach po stepie Kazachstanu. Był to oczywiście zupełnie inny krajobraz, jednakże podobnie jak Ural niesamowite wrażenie robiły tu ogrom i dzikość.

Pociąg jadący pod górę zwolnił bieg, toteż mogliśmy nasycić się widokiem tych wspaniałych gór. Wagony ledwo sunęły. Czuło się jak lokomotywa nie mogła sobie poradzić z ciężarem załadowanych wagonów. Wielki zakręt i po raz pierwszy zobaczyliśmy długi ogon naszego transportu. Liczyliśmy wagony, udało się, ale cyfry już nie pamiętam. Nagle wołanie dzieci stojących najbliższej otworu /trzymanych dla bezpieczeństwa przez dorosłych/: "Miedźwiedź!" Tak, ogromny brunatny niedźwiedź stał na tylnych łapach i przyglądał się. Nie był wcale wystraszony, chociaż odległość nie była wielka; okazał się raczej

zywał raczej ciekawość. Stał na skale, nieruchomy, władca gór.

Ural minaliśmy dopiero po kilku godzinach. Żał było rozstać się z tak pięknym krajobrazem i dotąd nigdy przeze mnie nie widzianym. Daleka podróż przebiegała monotonnie z wyjątkiem jednego momentu. Daleko za Uralem pociąg dobrał do ogromnej równiny, zasypanej, jak okien sięgnąć, śniegiem. Kwiecień zbliżył się ku końcowi. Śnieg przyszywał coraz mocniej. Wiosna dawała znać o sobie dużymi rozlewiskami wody. Cała równina, przez którą przejeżdżaliśmy, była podana od topniejącego śniegu. Pód jego jeszcze bardzo grubą warstwą gromadziły się olbrzymie ilości wody nie mogącej wyparować i rozniekształającej grunt. Przejeżdżający transport cały ciężarem zatapiał szyny wraz z podkładami w tę grząską maź. Woda miejscami sięgała do pokowy kół wagonu. Konwojenci wstępczyli na śnieg i szli obok toczącego się wolno pociągu. Ludzi ogarnęło przerażenie i zewsząd słychać było: "potopimy się, potopimy się!" W tym tempie przejechaliśmy kilka kilometrów rozniekształonej drogi i szczęśliwie wydostaliśmy się na twardy grunt.

5. I GO DALEJ?..

Podróż nasza trwała do końca kwietnia. Na stacji docelowej, z której rozszedł nas później innymi środkami lokomocji, byliśmy 27 czy 28 kwietnia. Rozszedł wzdłuż wagonu na całą szerokość i ujęliśmy stację - dwa biegnące obok siebie tory i długi budynek spełniający funkcję dworca. Wzdłuż torów stało kilkanaście mniejszych baraków służących zapewne jako mieszkania dla kolejarzy i robotników kolejowych. W jednym z nich zamieszkało później około 10 polskich rodzin.

Lotną nie wiedzieliśmy co się z nami stanie. Nie powiedziano nam dokąd jedziemy i po co. Nawet z zachowaniem konwojentów nie można było się niczego domyśleć. Nie rozmawiali z Polakami w ogóle. Nie wysuwało się ani współczucia ani nienawiści. Byli zupełnie obojętni. Widzieliśmy natomiast wielkie zainteresowanie transportem ze strony miejscowych ludzi, żaden z nich nie odważył się jednak podejść blisko do pociągu. Dyscyplina i strach zwyciężyły ciekawość... Nie mogliśmy dowiedzieć się nawet nazwy miejscowości. Podjechało kilkanaście ciężarówek. Do jednej z pierwszych załadowano kilka rodzin z naszego wagonu, wśród których byliśmy i my. Ruszyliśmy polnymi drogami. Samochód ^{rydelt} podkakiwał na wybojach i trzeba było mocno się trzymać by nie wypaść. Nie było bowiem plancki

a siedziałyśmy wysoko na tobożach. Później już wiedziałyśmy, że wszyscy kierowcy jeżdżą tu tak szybko i brawurowo bez względu na ładunek. Puste drogi i step...

Jechaliśmy około 25 kilometrów, żadnych zabudowań i dopiero pod koniec tej drogi ujrzeliśmy bielejące małe osiedle... Droga prowadziła przez środek kołchozu. Po obu jej stronach chaty, małe lepianki, jakby wyrosłe wprost z ziemi. Wyglądały bardzo schludnie, świeżo pobielone, w oknach czyste zasłonki i zieleń kwiatów doniczkowych. Małe szczyby błyszczały czystością. Domki stały jeden obok drugiego i ich obejście było również zadbane. Nie było widać natomiast żadnych zabudowań gospodarczych. Dopiero na końcu wsi samochód zatrzymał się przed ogromną owczarnią. Miejsca to było przeznaczone dla nas.

7. THAELMANN

Pierwsza konkretna nazwa miejscowości. Wiemy już, że znajdujemy się w Kazachstanie, w niemieckim kołchozie im. Thaelmanna. Rzeczy z ciężarówki wyrzucono na plac przed owczarnią, wszystko na jedną stertę. Stanęliśmy obok nie wiedząc, co dalej czynić. Z ust przewodniczącego kołchozu otrzymaliśmy "zaproszenie" do zajęcia miejsc w budynku, z którego jeszcze nie tak dawno wypędzono owce na pastwisko. Nie było jeszcze zielonej trawy, ale mogły się wyżywić sechniętymi ^{dz.} siankami z poprzedniego roku.

W późniejszych godzinach ta sama ciężarówka przywiozła jeszcze kilka rodzin /w sumie było nas tam ok. 10-12 rodzin/. Budynek gospodarczy uprzątnięto już uprzednio, widocznie już z myślą o nas. Na ziemi rozrzucono niewielkie ilości siana i słomy. Każda rodzina starała się wybrać miejsce najbardziej zaciszne i przytulne. Mama zajęła kawałek klepiska naprzeciw wejścia, licząc na ciągły dopływ świeżego powietrza. W zdobyciu jedzenia znów okazała się pomocna znajomość języka. Mama szybko nawiązała kontakty z miejscową ludnością i rozpoczęła wymianę towarową. Polskie rodziny wyzbywały się rzeczy, otrzymując w zamian przeważnie chleb i mleko. Pomyślała też o zorganizowaniu lepszego posłania, gdyż noce były jeszcze bardzo zimne. Poszła do przewodniczącego kołchozu z prośbą, by pozwolił napełnić siennik słomą. Nikt bowiem poza nią nie mógł dysponować "majątkiem" kołchozu. Wspaniałomyślnie wyraził zgodę. Na tym sienniku, który mieścił przedtem nasze rzeczy, spaliśmy wszyscy czworo. Mama leżała z brzegu, następnie brat, przy nim ja i na końcu no-

ja siostra. Brat nocami siusiał na mnie niemilosiernie, gdyż mama w obawie przed przeziębieniem nie wyprowadzała go przed sнем. Miałam tego serdecznie dosyć, ale strach przed nowym miejscem, potęgowany nocą, nie pozwalał mi zająć odsłoniętego z kątem brzegu poskonia.

Dzień przynosił pewne odprężenie, mimo to bałam się wychodzić sama poza nasze miejsce. Stopniowo jednak lek wijał i wraz z rówieśnikami zaczęliśmy penetrować najbliższe otoczenie. Strażników już nie było, nikt nas nie pilnował, z tego też powodu czuło się pewną ulgę. Zapowiedziano tylko, że nie wolno nikomu bez specjalnego pozwolenia oddalać się z kołchozu do innej miejscowości. Przewodniczący kołchozu /a był nim Rosjanin/ polecił wszystkim powyżej 14 lat podjęcie pracy. Wyznaczył miejsce zbiórki, gdzie miał wydać dalsze dyspozycje. Był to początek sześcioletniego okresu pracy niewolniczej. Mama chwilowo była zwolniona od pracy ze względu na dwójkę małych dzieci. Nie udało się uniknąć tego mojej starszej siostrze. Ja oswajałam się coraz bardziej z nowym środowiskiem. W czasie tzw. "wymiany towarowej" zwiedzałam z mamą każdą niemiecką chatkę. Te solidne białe domki miały wewnątrz po dwie izby. Jedną z nich wyposażono było w stół, dwie ławy, półki na noczyska zakryte zasłonką, ławę na wieszaki z wodą. Druga izba to sypialnia. Najczęściej stały w niej dwa łóżka, stół, ława do siedzenia i jakaś prymitywna szafa lub wydzielony kącik na ubrania zakryty zasłonką. Utwardzoną ziemię, która służyła tu za podłogę, smarowano kredą najciemniejszą, co chroniło przed insektami, zwłaszcza pchłami. Po wyschnięciu podłoga także była równa i gładka.

Gospodynie ubierały się w długie, suto marszczone spódnice przepasane równie długim, szerokim fartuchem oraz bluzki zapinane pod szyją, z długim rękawem. Strój ten był w niemieckim kołchozie powszechny i zasadniczo różnił się od stroju Rosjank, których ubiór był znacznie krótszy, inny pod względem kroju, mniej estetyczny. Strój dodawał Niemkom pewnej dostojności. W rozmowie z mamą były powściągliwe. Nic nie mówiły o sobie, przemilczały wypowiedziane przez mamę żale pod adresem władz, czuły się nawet zażenowane i często zmieniały temat, by nie słuchać tego, o czym nie wolno im było mówić.

Mijały dni. Coraz częściej oddalałam się od miejsca zamieszkania, zwiedzając budzący się do życia step. Interesowały mnie szczególnie widniejące w oddali wzgórza, które czerwieniły się w blasku słońca. Wreszcie dotarłam tam. Były to płaskie skały w kolorze

cienniej cegły. Większe konkracje dawały się łatwo odkupywać, a w ręku można było rozdzielać je na coraz to cieńsze warstwy. U podnóża tych skał całe bogactwo typowo górskiej roślinności. Ciekawe, że długo po zerwaniu zachowywały swój pierwotny kształt i świeży wygląd. Uzbierałam wiele okazów roślin, kamyków, które wydały mi się warte zachowania ze względu na kształt i kolor. Tych skarbów miałam już całe pudełko. Znajdowały się tam także inne cenne dla mnie rzeczy, np. biało-czerwone koraliki, podarunek od pewnej pani z naszego wagonu. Na swoje w górze biegłam co dzień, przynosząc zawsze jakieś cudo natury. Mama początkowo gniewała się na mnie za to, że zbyt oddalam się od wsi, że mogę zabłądzić, że jest to po prostu niebezpieczne. Widząc jednak jaką radość sprawia mi to, dała mi ciche przyzwolenie.

8. CHOROBA

Pod koniec drugiego tygodnia naszego pobytu w kolchozie, zachorował ciężko mój brat. Bardzo wysoka temperatura, brak apetytu, nie spał i płakał. Okazało się, że za uchem ma guz, zaczerwioną opuchliznę, wskazującą na formowanie się wrodz. Jego choroba uświadomiła nam dobitnie naszą sytuację. Nie ma lekarza, brak jakichkolwiek leków, brak zainteresowania nami ze strony władz, okropne warunki higieniczne. Mama dowiedziała się, że w odległości 25 km jest małe miasteczko Athasar i tam znajduje się mały szpital. U przewodniczącego wybiegałam prośbę i obietnicę, że przy najbliższej okazji, jak będzie transport, zabiorą mamę z dziećmi. I taka okazja nadeszła następnego dnia. Ja z siostrą zostałamy pod opieką współlokatorów. Nie doczekaliśmy się mamy, ani tego dnia ani następnego. Dopiero po kilku dniach woźnica przyszedł nam powiedzieć, że mama pozostała z dzieckiem w szpitalu. Był on bardzo prymitywny, brakowało podstawowych leków. Prowadziła go jedna lekarka. Bez znieczulenia dokonała cięcia wrzodu i zaleciła pozostanie przez kilka dni. W czasie pobytu w Athasarze mama nawiązała kontakt z polskimi rodzinami. Kilka Polek pracowało w szpitalu jako salowe. Przekazały one wiadomość, że Polacy mieszkający w kolchozie Thaelmann mają być przewiezieni i to w niedługim czasie w inne miejsce. Przerażona tą wiadomością mama wypisała Stasia ze szpitala na własne żądanie. Wróciła do kolchozu pieszo, niosąc chore jeszcze dziecko na ręką. Obawiała się utracenia kontaktu z nami w razie wywózki. Widok mamy był żalony,

wyczerpana do ostatnich granic, a krak tak osłabiony chorobą, że nie mógł nawet stać na nogach.

Przez cały okres naszego pobytu w kolchozie kwitł handel wymienny. Udało się nam zdobyć nawet cukier i masło /10 kg cukru, 5 kg masła/ za ogromny wełniany dywan, który przywieźliśmy ze sobą. Kupiła go żona jakiegoś wojskowego, prosząc mamę o dyskrecję. Poznaliśmy się w Athasarze. Przyjechaliśmy do kolchozu samochodem, przywieźliśmy towar i zabraliśmy dywan. Masło mama przetopiała i wlała do butelek /topione dzięki zachowywało świeżość w warunkach upałów/. Tym sposobem mieliśmy dość duży zapas podstawowych artykułów. Działo moje chleba otrzymywaliśmy z kolchozu, 0,5 kg na osobę pracującą i 0,3 kg na nie pracujących oraz mleko dla dzieci. Część wymieniliśmy na kaszę i kaszę jaglaną. Posiłki gotowaliśmy na prymitywnych kuchniach /każdy budował sobie sam z kamieni zbieranych w stepie/. Podstawowym jedzeniem były zacierki z mlekiem lub masłem oraz kasza jaglana. Za opał służyły nam /ludziom miejscowym również/ tzw. "kiziki"- zaschnięte korańki odchodów zwierzęcych bydlęcych, zbierane na pastwiskach. Miejscowi ludzie znali miejsce wypasów i bez trudu zapatrywali się w potrzebny opał. My natomiast musieliśmy nieraz przemierzyć wiele kilometrów, by zbierać worek kizików. Zadziwiająco jak człowiek szybko potrafi dostosować się do sytuacji. W walce o byt rozczulanie się nad sobą nie mogło mieć miejsca. Każda udana przebieżka, przjrządną i zjedzony posiłek, to, że jesteśmy zdrowi, że możemy chodzić po stepie bez strażnika, przynosiło nam wielką radość, dawało satysfakcję. Żyliśmy dniami dzisiejszym. Nie myśleliśmy, co będzie dalej, z nadzieją zimy, do której nie byliśmy zupełnie przygotowani. Tutajsi ludzie trzymali się od nas z daleka /może mieli takie polecenie?/. Trzeba jednak przyznać, że w pierwszych dniach naszego pobytu kobiety z kolchozu przynosiły nam co mogły: mleko, chleb, nawet jajka. Kilkakrotnie udało się mamie nawiązać rozmowę ze starszymi kobietami, bardziej odważnymi. Dowiedziała się, że są zesłańcami, podobnie jak my, że nie ma wśród nich starszych mężczyzn, tylko sami młodzi wyrosli już tu w Thaelmannie. Był to kolchoz składający się z rodzin niemieckich. Wszystkie zabudowania wykonali własnymi rękami. Domy mieszkalne jak i budynki gospodarcze były to tzw. lepianki. Materiałem budowlanym była darnina odpowiednio cięta, od wewnątrz i od zewnątrz dokładnie obmazana gliną. Na pokrycie dachu używano gałęzi z krzewów porastających brzegi rzek, przykrywano suchą, wysoką trawą i przysypywano grubą warstwą

twą ziemi. Domów było, po obu stronach drogi, około 20. Wszędzie widoczna była pracowitość tych ludzi, dbałość o porządek i czystość. Podobało się nam w tym kołchozie. Ale władze uznały widocznie, że jest nam tu zbyt dobrze i postanowiły przetransportować nas w inne miejsce, bardziej odpowiednie dla zesłańców. Był to dla nas ciós ostateczny. Mama nosiła się z zamiarem kupna za dwa następne dywany, krowy. Miała nawet takie propozycje. Każdy z pracowników kołchozu mógł trzymać jedną krowę /tzn. jedną krowa na jedną rodzinę/. Na chleb zapracowalibyśmy i jakoś by się żyło. Tymczasem plan okazał się nierealny. Pod koniec maja przyszedł do naszej ovczarni przewodniczący kołchozu z kilkoma innymi ludźmi i kazano nam pakować się w dalszą drogę. U brata nastąpił w tym czasie nawrót choroby- znów wysoka temperatura, brak apetytu, płakał. Mama prosiła o pozostawienie naszej rodziny na miejscu albo chociaż przesunięcie terminu wyjazdu. Prosiła ich o wejście do środka budynku i sprawdzenie jak bardzo chore jest dziecko. Nie uwzględnili jej prośby i niewzruszeni powtarzali polecenie- szykować się do drogi. Przyjechały samochody ciężarowe. Ładowano nas tyłu, i tu tylko się zmieściło na platformie. Mamie z dzieckiem kazali usiąść przy kierowcy /był to wspaniały wielki przywilej/. Jak dobrze, że mama nie kupiła wcześniej krowy, a dywany jadą dalej z nami. I znów pędzimy wyhoistą drogą a samochodem rzuca na wszystkie strony. Gedziny się z tym wszystkim bez słowa sprzeciwu, bez narzekania. Na pierwszym postoju dowiadujemy się, że w czasie jednego z takich podskoków, brat przyciął sobie zębami język i dość mocno krwawi. Kierowca tym razem był dość ludzki i dalsza jazda była ostrożniejsza. Przed nocą dotarliśmy do miejscowości, której nazwy już nie pamiętam. Było to następne miejsce naszego pobytu na zesłaniu i chyba najokropniejsze.

9. UPODLBIE

Przywieziono nas do sowchozu, wyładowano nasze rzeczy na jedną gromadę obok obory- długiego, niskiego, bez okien, z dużym otworem wejściowym, budynku. Tuż przy nim ogromna przyzma składowanego latami nawozu, obok rów z nie odpływającą gnojówką, nieczysty smród potęgował upał, słoneczną spiekotę. W to miejsce przywieziono około 10-15 rodzin. Czekamy na rozmowę z przewodniczącym sowchozu. W niewielkiej odległości zebrała się gromadka wyrostków, gapią się na nas, pokazują w naszym kierunku palcami, rozmawiając jednocześnie z mężczyzną w średnim wieku stojącym wśród nich. Raptem padają obok nas kamienie- rzucają nimi miejscowi chłopcy. Nasi rówieśnicy nie pozostają dłużni. Zebrałi się w drugą gromadkę i natychmiast

przystąpili do odwrotu. Kamienie posypały się w odwrotnym kierunku. Obrona okazała się bardzo skuteczną i miejscowi rozproszyli się, zostawiając nas w spokoju. Po pewnym czasie przesyłek przewodniczący i polecił zakwaterować się w obozisku, którą jeszcze nie tak dawno opuścić by było. Budynki były osypanymy z gnoju, ale jeszcze bardzo mokry. Nie tylko podłoga nasiąknięta gnojówką, ale mokre całe ściany. Jak tu mieszkać? Jak tu spać? Ziemię posypaliśmy jakimś resztkami siano, ale to bardzo mało, by przykryć rozmoczony podłoga. Mimo to wykonujemy polecenie, przenosząc swoje rzeczy i zajmując miejsce jak najbliższe otworu wejściowego.

Niewiele osób wybrano następnego dnia do pracy wyznaczanej przez miejscową władzę. Ze względu na bardzo złe nastawienie do nas miejscowej ludności, mama nie pozwoliła nam na oddalanie się poza teren oboziska. W tych warunkach spędziliśmy około półtora miesiąca. Jedzenie musieliśmy zdobywać sami, oddając za nie swoje rzeczy. Nie zapamiętałam nawet nazwy kołchozu, nigdzie nie wychodziłam. Okres ten wraca jak koszmarny sen. Jedno tylko określenie nasuwa się jako właściwe - UPOBLENIE. Kiedy pojechały wozy zaprzężone w woły i kazano nam żądać swoje rzeczy, cieszyliśmy się, bo chyba gorzej już nie mogło być. Przewodniczący sowchozu zaproponował namie pozostanie, obiecał mieszkanie, dobrą pracę i wysokie zarobki. Odpowiedź mamy była natychmiastowa - jeśli może decydować o sobie, chce wyjechać razem ze wszystkimi. I tak pojechaliśmy w dalszą drogę.

10. PRZEJAZDEM

Jest to już trzecie miejsce naszego pobytu. I chyba po raz pierwszy władze potraktowały nas jak ludzi. Zakwaterowano nas bowiem po kilka rodzin do domów robotników rolnych. Był to sowchos zamieszkały w większości przez Rosjan. Wyczuwało się z ich strony niezadowolanie z tej sytuacji. Patrzone na nas z niechęcią, nawet nienawiścią. Było to w pewnym sensie uzasadnione. Zakłócone w miarę normalny tryb życia, bez ich zgody. Chaty, jak we wszystkich sowchosach i kołchosach, niewielkie lepianki, wypełniły się polskimi rodzinami. Jest to pełnia lata, większość czasu spędzamy na powietrzu. Ciężota nie jest wcale uciążliwa /tylko w nocy/. Ale co będzie zimą? Lody między nami a mieszkańcami sowchozu zostały przełamane dopiero wtedy, gdy rozpoczął się handel. Ładna odzież cieszyła ich oczy przyzwyczajone do starzyszy i szarżysny. Można było za nią dostać takie rarytasy jak: masło, świeże ryby, białe bułki pieczone w kształcie kołchozy. Sowchos należał do bogatszych

osobnych w Ayuność. Łatwość zdobycia pożywienia utwierdziła nas w przekonaniu, że tu można przeżyć, wreszcie nie zdarza się nam to przykre uczucie, jakim jest głód. Wnętrza domów były tu jak wszędzie ubogie. Tylko niezbędny sprzęt, wykonany własnoręcznie, prymitywnie. Widać braki pościeli i odzież. Domy i ich obejścia utrzymane niechlujnie, brudno. Początkowo, by zaspokoić głód, Polki sprzedawały swoje rzeczy za bencen. Z biegiem czasu, gdy odzież było coraz mniej, ceny szły w górę. Nie można było wysbywać się wszystkiego, czekała nas wielka niewiedoma. Trzeba było myśleć o wyprzedzeniu czasu. Większość transakcji przebiegała przy pomocy naszej mamy. Znajomość języka, łatwość nawiązywanie kontaktów dawała jej przewagę nad pozostałymi. Wszelkie sprawy dotyczące pracy, naszego pobytu, miejscowe władze ułatwiały skracając się do mamy. Nie udało się jednak zdobyć żadnych informacji dotyczących naszej sytuacji. Temat ten poruszany w różnych okolicznościach i bardzo oględnie prezentował bez odpowiedzi. W dalszym ciągu nie wiedzieliśmy, na jaki okres jesteśmy sesłani i co zamierzają z nami dalej zrobić. Widocznie sami nie wiedzieli.

Izba, którą zajmowaliśmy wraz z dwiema innymi rodzinami, przypominała swym urządzeniem kuchnię. Stał w niej stół, dwie ławy i ruski piec z dużym miejscem na spanie. Spaliśmy wszyscy na udeptanej podłodze, przykrytej skórą. Gospodarze zajmowali drugą izbę, obok, przechodzącą przez naszą. Porównując z pobytom w poprzednim sowchozie, te warunki wydawały się nam zupełnie znośne. Po raz pierwszy, od naszego wyjazdu z Polki, mieszkamy tak jak inni - w domu. Świeżych ryb jemy pod dostatkiem, przeważnie gotowane, później nauczono nas piec w ognisku.

Po kilku dniach pobytu rozpoczęłam swoje wędrówki przyrodnicze. Sowchoz leżał nad tą samą rzeką Isym, tak jak Abeser, tylko bardziej na północ. Jak okiem sięgnąć rozciągał się step. Słodkie piekło niemikrosiernie. Widać było rozpuszone, pulsujące powietrze. Zielona soczysta czarna roślina stepu zmieniła się teraz na jaśniejszą. Zbierałam rośliny rosnące tuż przy samej ziemi oraz różnego rodzaju kamyki. Z każdej takiej wędrówki przynosiłam pełen worek kamyków, których na stepie było pełno. Liczyłam na to, że część tego opaku zasuszyszmy na okres zimowy. Nawiązałam znajomość, z raczej przyjaźni z miejscową dziewczynką, młodszej obok naszej chaty, ale na spacerach lubiłam chodzić sama. Te codzienne wyprawy w step dały rezultat w postaci dużego pudełka wypełnionego różnorodną roślinnością, kamykami i muszelkami z brzegu rzeki. Byłam dumna ze swoich skarbów i starannie je przechowywałam. Przyjaźni z Rosjanką zaoferowała się i pewnego dnia zapragnęłam pochwalić się moimi zbiorami. Skutek był dla mnie nieoczekiwany. Dziewczyna po obejrzeniu wyrwała mi z ręki

puďte i uciekła do swojego domu. Ja zaś z płaczem pobiegłam do mamy na skargę. Nie pomogła ani mamy interwencja, ani mój płacz. Rosjankę nie oddała mi mojej własności, a jej matka nie próbowała wcale jej do tego zmusić.

Nie chcieliśmy wyjeżdżać z tego sowchozu. Tu sprzyjała ludziona nawet przyroda. Rzeka zasobna w ryby, bardzo urodzajne ziemie. Dużo stada owiec i bydła zapewniały pracę i na okres zimowy. Minął jednak niecały miesiąc, kiedy znów podjechały wozy zaprzęzione w pary wołów, załadowane po kilka rodzin i bez słowa wyjaśnienia wyruszyliśmy w dalszą drogę.

11. KONIEC ŚWIATA

Jechaliśmy na północny wschód. Woźnicą naszym był stary Kasach o groźnym wyglądzie, wciąż się skłócił pluź na boki i marrożał po kazachsku. W języku rosyjskim mówił bardzo niewiele, ale rozumiał wszystko z czym mama zwracała się do niego. Była to już druga połowa lipca, a może nawet początek sierpnia. Jechaliśmy dwa lub trzy dni. Noce były już chłodne. Całe szczęście, że brat był już zdrow, wyleczony donowym sposobem - sióźkami. Kamiony był jeszcze pierznią, choć 2 czerwca minął mu rok.

Nocą bardzo przydała się nasza pierzyna, na którą mama zarzucała jeszcze dywan. Lekkie kołysanie wozu, powolna jechała woźnika, świeże, czyste powietrze działały usypiająco. Spaliśmy więc jak suszy, jedąc śpiem i nocą. Krótkie postoje wykorzystywaliśmy na bieganie po stepie lub około wozu z daleka od wołów, których baliśmy się panicznie. Ruch ten był konieczny, by rozprostować zdrętwiałe od ciasnoty nogi. Kasach zarządzał również dłuższe postoje związane z popasem wołów. Pierwszy dłuższy postój wypadł pierwszego dnia naszej podróży, przed zachodem słońca. Woźnica bez słowa zatrzymał wóz, wyprzągnął je i poganiając przed sobą zaczął się oddalać. Na wożenie mamy, zostawił wozy, wrócił i wyjaśnił, że mamy znieść się spać na wozie i nie wychodzić nocą ze względu na wilki. O groso! Tego nam jeszcze brakowało. Spaliśmy snem niespokojnym. Mama, na zmianę z innymi dorosłymi osobami, dyżurowała przez całą noc. Później opowiadała, że bała się jeszcze bardziej tego, że Kasach sprowadzi kilku podobnych sobie dzikusów i mogą nas nawet zabić, zabierając nasze rzeczy /a był nimi wykładowany cały wóz/. Noc minęła spokojnie. Jeszcze było ciemno, gdy wrócił woźnica, zaprzęgnął wozy i wóz potoczył się dalej. Po popasie zwierzęta były jeszcze bardziej leniwe i powolne. Szły krok za krokiem, wóz jechał bardzo wolno. Mogliśmy więc napawać się do syta pięknym krajobrazem, zmieniającym się w miarę jazdy, jak również pod wpływem promieni

wschodzącego słońca. Szczególnie ^{niezłute} wyglądał stęp w czasie wschodu i zachodu słońca. Przed południem wóz nasz zatrzymał się na dłuższy postój. I znów wyprężone woły poszły posłusznie za swym opiekunem. Pokazał nam na palcach, jak długi będzie trwał postój i ruszył powoli drogą, którą dotychczas jechaliśmy. Mama znalazła wolną od trawy przestrzeń, ukłótyła kilka kamieni, poleciła zbierać suchych grząnych kodyg i zaczęła szykować gorącej porządek. Długo potem wspanialiśmy tę pyszną jajecznicę na szoninie. Była nawet herbata rumiankowa, do popioła. Ta jajecznicą nakarmiła wszystkich jadących z nami. I właśnie dlatego była lubiana bardzo przez współtowarzyszy niedoli. W trudnych chwilach potrafiła podzielić się tym co miała. Była zaradna i pomocą służyła innym. W ciężkich momentach nie traciła nadziei i wszystkim dodawała otuchy... W czasie szukania opała trafiliśmy na małą kępkę porzennok, ukrytą wśród traw. Co to były za rączki! Słodkie czerwone jagody rozpywały się wprost w ustach. Było ich wprawdzie niewiele, ale ileż uciechy! Za około dwie godziny mieliśmy woły ponownie zaprzężone do wozu i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tajemniczo zachowanie Kazacha niebawem wyjaśniło się. Woły, czkapiące powoli, ciągnęły wóz równo i spokojnie. My najedzeni do syta leżeliśmy, rozglądając się dookoła. Dojechaliśmy do rzeki, na której brzegu kończyła się nasza droga, a wychodziła po jej drugiej stronie. Nasze "rumaki" spokojnie weszły do wody, trochę się napiły i pociągnęły wóz przez rzekę. Woda, chociaż nie była zbyt głęboka, sięgała powyżej kół i przez resztę dnia, jadąc uszyliśmy swoje rzeczy, a szczególnie pościel. Do tej właśnie rzeki Kazach przyprowadził wesołej woty, napoił je i wrócił. Zwierzęta te potrafią bowiem wyznaczyć wodę na dużą odległość i jeśli są spragnione, pędzą tak szybko, że żadna siła ich nie powstrzyma. Tym sposobem zapobiegł niechybnej katastrofie /rozbiłyby wóz i nas/. Przejechaliśmy więc spokojnie przez rzekę i bez zatrzymywania jechaliśmy całą noc. Około południa byliśmy na miejscu. Po drodze nie widzieliśmy żadnego osiedla ani nawet innych pojazdów na stepowej drodze. Dokąd nas przywieziono? Kilka chałup na wysokim brzegu rzeki i pustka wokół. Czy to już koniec naszej wędrówki, a może to w ogóle koniec świata?

12. CZULAKSANDYK

Już z daleka jakiś mały człowieczek o krzywych nogach machał ręką na naszego woźnicę, wskazując miejsce, gdzie należy się zatrzymać. Przejechaliśmy do sowchosa o typowo kasachskiej nazwie - Czulaaksandyk. Woźnica zszedł z wozu i poprowadził swoje woły przed wskazany długi barak. Wyglądał on na nieużywany od dłuższego czasu cwozarnię. Kioskało tam kilka rodzin

kazachskich, które wyrzucono i ukwaterowano kilkanaście polskich. Kazachowie jeszcze siedzieli na swoich rzeczach przed kamieniczym ogrodzeniem, a my wnosiliśmy swój dobytek do środka. My przyjechaliśmy jako ostatni. Miejsce w baraku były już w większości zajęte. I znów, tak jak w Ushelmannie, przypadek nam trochę napyściłko wejścia. Po ulokowaniu rzeczy zaczęliśmy rozglądać się i poznawać nasze nowe środowisko. Okazało się, że sowchoz zamieszkuje sami Kazachowie, w sumie około czterdziestu rodzin, mniej niż nas, Polaków. Zbudowania to: na początku sowchozu duża szewcownia, dalej ostrogi baraki mieszkalne, magazyn na wełnę i produkty żywnościowe, które tu przysyłano od czasu do czasu i jedną małą lepiarnię, w której mieszkała jedyna w tej osadzie Rosjanka. Sowchoz miał bardzo ładne położenie. Wszystkie budynki położone były na wyssokim wzniesieniu biegnącym wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Irtysz. Po zachodniej stronie rzeki rozciągała się ogromna, płaska przestrzeń stepowa, poproszczona niezbyt głębokimi jarami. Przyjechaliśmy drogą wiodącą do sowchozu od strony wschodniej. W kierunku stąd widniała jeszcze druga droga prowadząca w kierunku zachodnim. Biegła przez całe wzniesienie osady, spadała po wysokim brzegu ku rzece, której wody przecinały ją. Następnie widać się po drugiej stronie pomiędzy trawami stepu. Było ją widać bardzo daleko. W przyszłości pragnęło mi przemierzyć tę trasę w niezmiernie trudnej sytuacji. Po wschodniej stronie sowchozu, w odległości nieco ponad wzniesienie posadowionej roślinności o kolorze ciemnoczerwonym. Widoczność z jaskrawym słońcem była wspaniała. Już szukałem plany na najbliższe dni. W pierwszej kolejności pragnęłam zobaczyć na to odległe wzniesienie.

Okres suszy letniej wyciskał wody rzeki do wąskiego koryta. Duża część dna była odsłonięta /właśnie po naszej stronie/. Tworzyły je ogromne, płaskie bloki kamienne, sięgające się całymi kilometrami. Na nich przeliliśmy i oszkliliśmy swoją bielizną. One były wspaniałym miejscem naszych dziecięcych zabaw. Idealnie czysta woda, duże natężenie światła słonecznego, bielizna, bez proszku i mydła, bieliznianką. Jednak przekonaaliśmy się po kilku tygodniach, że tak czyste sączą się rozkazie - spaliło ją słońce.

Były okresy, kiedy kryształowo czysta woda, płynąca cichym, spokojnym nurtem, zmieniała kolor na brązowo-gliniasty i z ogromną siłą, hukiem nalewała całą zachodnią przestrzeń stepową, aż po sam horyzont. Najstraszniejszymi okrzewami były wiośniowe fontanny, kiedy to ogromne ilości śniegu, nagromadzone przez całą zimą, topniając, tworzyły nieprzewidywalną, liźną potoków epizodycznych ku rzece. Lód grubości najczęściej kilku metrów, pod naporem epizodycznych wód i promieni słonecznych, trząsał z hukami pierunów, unosił się ku górze. Płynąca kora pływająca się, tworząc zapory lodowe, które z kolei pod naporem innych trząsały z takim hukami, że ze strachu chciało się uciekać, tylko gdzie? Woda zmieniała ogromne przestrzenie ste-

powe w nocce. Okropny to żywioł. Dobrze, że tylko jeden raz przyszło mi to przeżywać. Patrzymałem godzinami przez małe okienko naszej lepianki, w strzechu i podsiwym jednocześnie. Potęga przyrody, której nic nie zdaje się oprzeć, górowała nad rozumem ludzkim. Przyroda dawała także wielkie ukojenie i radość. Była ona dla człowieka niejednokrotnie bardzo groźna, a jednocześnie obdarowywała wszystkim, co jest do życia potrzebne: ziarno na chleb, wołną na odzież, budulec na chaty, opał. Nie mogliśmy mieć żadnych złudzeń, pozostawało nam tylko jedno - nauczyć się żyć w takich warunkach. Brać od niej wszystko, co daje, a unikać groźnych z nią zdarzeń.

Oświadczono nam, że barak, który otrzymaliśmy po tubylcach, jest tymczasowym miejscem zamieszkania. Na niego musimy wybudować sobie sami chatę - lepiankę. Tymczasowe lokum było tak niebezpieczne, że w dzień nie mogliśmy w nim przebywać, a noc to jeden koszar. Nie można było w ogóle spać. Nie było ratunku przed tymi dokuczliwymi insektami. Tak spędziliśmy się około dwóch miesięcy, zanim nie powstał nasz własny "dom". Wypędzeni Kasachowie patrzyli na nas przez ten cały czas ze złością, przekonani, że to z naszej przyczyny dzieje im się krzywda.

Każda chata miała wysokie ogrodzenie z płaskich kamieni, chroniące od dzikich zwierząt, a zimą od śnieżnych zawiei - burianu. Silnie wiejący wiatr ze śniegiem potrafił zasypać chatę równo z dachem. Latem ogrodzone podwórko stawało się przedłużeniem powierzchni nieskalnej. Spędzało się na nim cały dzień. Wybudowaną przez Kasachów kuchnię nie wystarczała na potrzeby tylu rodzin, pobudowano więc kilka nowych. Przyniesiliśmy ze sobą trochę zapasów, więc było co gotować. Nauczyłem się piec tzw. lepieski, po kasachsku. Dwie patelnie bez uchwyty: jedną na spód, na nią sagnięciene ciasto na placek, na wierzch druga patelnia i to wszystko przykryte niesbyt dużym łazem. Po pewnym czasie lepieska była gotowa, pięknie aromatyczna, pachnąca świeżością i bardzo smaczna... Obowiązkiem dzieci było szeptanie w opał. Chodziliśmy nad rzekę, zbierając nad jej brzegami suche białe krzewów rosnących tu bujnie. Przynosiliśmy całe wiązki drewna. Zbieraliśmy również na stepie kizaki. Przygotowane posiłki jedliśmy w pobliżu kuchni, siedząc bezpośrednio na ziemi lub płaskich kamieniach przyniesionych spod rzeki. Doprawdy smutny był to widok. Po kilku dniach względnej spokoju odwiedził nas przewodniczący sowchosu i w paru słowach wytknął nam jak należy zabierać się do budowy domu. Czas był krótki i należało pośpieszyć się z robotą. Mieliśmy zostać tu na zimę. Nie gonią nas do pracy w sowchosie /widocznie w tym czasie nie było żadnego sajscia/, ale nikt nie interesuje się tym, co mamy jeść. Nie otrzymujemy żadnych produktów żywnościowych. Eja dany to, co przynieśliśmy ze sobą. Zapasów wystarczy /używając bardzo oszczędnie/ na najdalej trzy tygodnie, i co dalej? Mama z Waelmanna przyniosła trzy kurki, które snosiły nam codziennie po parę jajek. Jak bardzo pomo-

gły one przetrwać nam zimę!

Rozpoczęła się budowa naszej chatki. Młodsze, silniejsze osoby poszły na step kopać darninę, kilka osób stanęło do roboty przy wykopach płytkich rowów na fundamenty. Wyznaczone kijami zarys pragnętego budynku. Nawet dzieci otrzymały swój przydział pracy. Zbieraliśmy i przynosiliśmy płaskie kamienie na budowę ogrodzenia. Szybko urosła na miejscu budowy cała góra tego budulca. Naszym obowiązkiem było również przynoszenie gałęzi, wyrębanych przez starszych chłopców nad rzeką, przeznaczonych na pokrycie dachu. Wós zaprzężony w dwa wozy przewoził naciętą darninę i kilka sprytniejszych osób zajęło się wnoszeniem "murów". Mimo braku fachowców budynek szybko nabierał realnych kształtów. Elektryzowany był między magazynem a mieszkaniem przewodniczącego, pewnie dlatego, by mógł nas lepiej ^{depilnować} ~~depilnować~~ ^{depilnować} ~~depilnować~~ dniem na dzień. Ludzie zmęczeni dużym wysiłkiem fizycznym chcieli jeść, a tu naszy kołomyży się. Szczególnie trudno było o podstawowe produkty jak mąka i mleko. Ta niewielka grupa miejscowych ludzi nie mogła nas wyżywić. To, co mieli, musiało im wystarczyć na bardzo długi okres zimowy. Za nasze resztki odsieczy można było kupić co najwyżej mleko owce. Nadzieja samleskowania we własnym, wolnym od insektów pomieszczeniu, stawała się coraz bardziej realna. Pozostało tylko położenie dachu z gałęzi i grubej warstwy siana, wstawienie trzech małych okienek i drzwi oraz postawienie ogrodzenia. Ale głód zaczynał dokuczać coraz bardziej. Nadchodził długi i ciężki okres zimy, do której, poza budującym się barakiem, nie byliśmy w ogóle przygotowani. Nie mogliśmy liczyć na żadną pomoc ze strony naszych "opiekunów", a w czasie zimy nie można było wyruszyć gdziekolwiek w poszukiwaniu żywności. Zima to okres bardzo niebezpieczny na jakiegokolwiek podróowanie. Wrony dochodziły do 45° stopni C, duże opady śniegu, siewieje. Z braku możliwości zapotrzenia się na miejscu, mama postanowiła wyruszyć w poszukiwaniu żywności. Zebrała od wszystkich niepotrzebną odzież, jaka pozostała, wybrała panią Frąckowiak do pomocy i poszła z całą delegacją do przewodniczącego, aby dał wós i wozy /sama miała powozić/. Po wysłuchaniu prośby wyrosił zgodę i następnego dnia mama wyjechała w drogę. Najbliższe osiedla znajdowały się w odległości 25-30 km.

13. W OCZEKIWANIU NA MAMĘ

Długo staliśmy na drodze, którą oddalał się wós zaprzężony w jednego wozu, a na nim dwie, młode jeszcze Polki, kierujące tym dziwnym wozem. Wós z każdą chwilą maleł, aż znikł zupełnie z naszych oczu. Stałam długo patrząc na drogę, którą odjechały. Niezłam nadzieje, że może je zobaczę na dalekim wzgórzu. Po raz drugi mama sastawiała nas pod cudzą opieką. Obowiązku tego podjęła się Rosjanka. Zebrała całą naszą trójkę do swojej chatki.

Składała się ona z dwóch izb. Jedna mała, przypominająca raczej przed-
sionek, druga dwukrotnie większa. Stały tu dwa łóżka, stół, taboret i na-
wet piecyk do ogrzewania pomieszczenia. Okno zasłonięte białą czystą zas-
lonką, na stole - lampa naftowa. Skromnie ale bardzo czysto. Rosjanka po-
ziła obowiązki magazynierki i następcy przewodniczącego. Trudno było ugad-
nąć, dlaczego przebywa tu, między Kazachami. Nie wyglądało na to, że jest
na wyco. Mimo iż mama często u niej bywała, prowadząc długie wieczorne
rozmowy, nie dowiedziało się o niej samej nic. Miała około 50 lat, prze-
ciętnej urody, dość wysoka, zawsze równa, bez uśmiechu, sposób bycia nie-
przyjemny, szorstki. Nam, dzieciom, nieznajomość rosyjskiego jeszcze bar-
dziej utrudniała kontakty z nią. Starsza siostra zajmowała się naszym ma-
łym bracieczkiem, który grymasił, szczególnie wieczorem, odczuwając dotkli-
wie brak matczynego mleka i opieki. Mleko krowie powodowało u niego zabu-
rzenia żołądkowe /nie był do niego przyzwyczajony/ i dość często nam płę-
kał. Brak mamy odczuwaliśmy również i ja. Panicznie bałam się gospodyni. Jej
wzrok wprost paraliżował moje ruchy. Najczęściej siedziałam przed domem,
oczekując powrotu mamy. Nie umiałam zapytać, co wolno mi czynić, a bez jej
pozwolenia nie śmiałam ruszyć się poza teren obejścia, będąc gotowa na każ-
de zawołanie. Szczególnie jedno zdarzenie, z okresu pobytu u niej utkwilo
mocno w mej pamięci. Pewnej nocy wstałam załatwić się. Byłam widocznie nie-
sposobnie rozbudzona, bo wyciągnęłam spod łóżka zamurowany trzewik siostry
i zaczęłam siusiać. Kiedy pod nogami poczułam mokro, natychmiast oprzytom-
niałam, otworzyłam oczy i spostrzegłam swoją pomyłkę. Ogromne mnie prze-
rażenie. Tym bardziej, że dopiero wtedy zobaczyłam palącą się na stole lam-
pę naftową. Na taborecie, przy stole, przykryta chustą, siedziała gospody-
ni i coś czytała /gazetę czy książkę, nie wiem/. Siedziała nieruchomo, ma-
ły płomyk oświetlał jej twarz. Patrzyła na mnie, a wzrok jej nie był sinny
jak zawsze, bo lekko uśmiechała się. Ze strachu wskoczyłam do łóżka z ne-
krymi nogami. Długo nie mogłam zasnąć, leżałam z zamkniętymi oczami, czeka-
jąc, co będzie dalej. Rano, kiedy się obudziłam, bałam się wstać, a nawet
otworzyć oczy. Ku mojemu zdziwieniu i zadowoleniu opiekunka nasza nic nie
wspominała o nocnym wydarzeniu. W ciągu dnia, kilka razy pogłaskała mnie
nawet po głowie, uśmiechając się z lekka. Byłam szczęśliwa, bowiem nigdy
dotąd nie widziałam uśmiechu na jej twarzy. Od tego dnia minął mój strach,
pozostał jedynie respekt przed nią. Po tym fakcie mogłam ją określić jako
kobietę mądrą, dobrą i nawet czułą. W dalszym ciągu nie oddalałam się nig-
dzie poza teren domu. Oczekiwałam powrotu mamy. Po tygodniu wróciły obie
szczęśliwie, przywożąc ze sobą kilka worków mąki i inne produkty. Mama roz-
stała rozdzielona rodzinom, które dały swoje rzeczy do wymiany. Mieliśmy
już co jeść. Wróciła chęć do życia i pracy. Przez długie godziny słuchali-

my opowiadał o ścieżce wyprawy. Zapamiętałam jedno zdarzenie, najbardziej groźne i niebezpieczne. Otóż, podczas całej casy podróży starały się jechać za dnia. W drodze powrotnej postanowiły jechać jak najwyżej i noc nastąpiła je na stepie. Wyprzęgły wozu, przywiązały go mocno do wozu, żeby nie uciekł, a same zbierały duże suchej trawy, na której miały zamiar spać. Zbliżyła się jesień, noc byki już bardzo zimne. Postanowiły rozpalic ognisko. W niedługim czasie usłyszały w oddali wycie kilku wilków. Zobaczyły ogniki wilczych oczu. Nie można było policzyć ile ich było, gdyż, w ciągłym ruchu zwierzęta te zmieniały swoje położenie i światła oczu zapalały się i znikaly. Gdyby nasze panie nie zatrzymały się i nie rozpalily ogniska, spotkanie z wilkami zakończyłoby się tragicznie. Spaliły w końcu wszystko, co się dało, podtrzymując ogień, aż uciekły wycie i znikły wilcze oczy. Nie spły do samego rana. Ze wschodem słońca wyruszyły w dalszą drogę. I dzięki Bogu wróciły szczęśliwie. Myślę, że wybierając się w tę drogę, nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie były narażone. Dzięki tej wyprawie przeżyliśmy zimę.

14. NADEJŚCIE ZIMY

Barak nasz był już gotowy i po powrocie mamy rozpoczęliśmy przeprowadzkę. Trwała ona przez kilka dni. Rzeczy nasze przeniesiliśmy bardzo szybko, bo ubyło ich znacznie od czasu naszego przyjazdu, nie nagromadziliśmy na śnieg sporo opału, który należało przetransportować na plecach. Wszyscy dorodzi uwijali^{si} przy rozpoczętej budowie kamiennego ogrodzenia. Za nim, przy ścianie budynku, gromadziliśmy kisinki i suche, grube patyki, przyniesione snad rzeki. Chodziliśmy /dzieci, takie jak ja/ wzdłuż jej brzegów coraz dalej, bo blisko były już wysieraba i znalezione wiązaliśmy w paki. Nosząc je na plecach przemierzaliśmy nieraz całe kilometry kamiennego brzegu. Nagromadziliśmy wspólnie ogromną stertę, nie wiedzieliśmy o ogrodzeniu, trzeba było składać po zewnętrznej stronie. Były kłopoty z zabezpieczeniem przed silnym wiatrem, który mógł sniweżyć nasz trud, roznosząc lekkie kawałki drewna na wszystkie strony świata.

Grubość naszego barku wynosiła około 8-9 m, szerokość - 3-4 m. Przeznaczony dzielną ścianami tworzył trzy przytulne pomieszczenia, każde z małym okienkiem wychodzącym na zachód /chwytaki odrobine promieni słonecznych ze strony południowej/, na rzekę i ogromny pusty step... Pierwsze pomieszczenie, najzajęzse, do którego wchodziło się bezpośrednio z podwórca, zajmowała wraz ze swoimi dwoma synami pani Dżotyńska. Znajdował się tu ruski piec i kuchnia do gotowania. W ruskim piecu nie paliliśmy o ile pamiętam ani rana, a kuchnia, w której ogień prawie nie wygaszał, ogrzewała ca-

Ze pomieszczenie bardzo nieznacznie. Gotowanie na kuchni miało wyznaczony harmonogram, który w miarę upływu czasu tracił swą wartość, bo nie było co gotować. Po lewej stronie wejścia za kuchnię zajęte jeden kątek mama, drugi - pani Pietraszewska z córką i trzeci - przy ruskim piecu - starszy pan /nazwiska nie pamiętam/, który przez całą siłą ciężko chorował na szkorbut /z braku witamin i głodu/. Wyjechał na swojej przyczepie przez całą siłą, w ogóle nie wstając. Stronę prawą, od wejścia /największą/ zajęły wszystkie pozostałe rodziny. Kilka nazwisk zapamiętałam: pani Piskarska z córką, pani Frąckowiak z synem i córką, trzy córki starszego pana - dwie panienki i jedna mężatka z dziećmi i jeszcze jedna pani z pięcioro dziećmi. Starszy pan, zanim przeprowadził się do naszego baraku, pochował swoją żonę w Czuzaksanduku, sam zaś zmarł krótko po naszym wyjeździe, po amnestii. Całe szczęście, że był to jedyny pogrzeb w czasie naszego pobytu w tym socchozie. W takich warunkach mogło być znacznie gorzej. Żeby nie spać na ziemi, mama poprosiła przewodniczącego o plecionki z tału /tał- gałęzie krzewów rosnących nad rzeką/, które służyły jako siodła dla owiec. Plecionki ułożono na dość wysokich podpórkach z płaskich kamieni. Wszyscy spaliśmy na tak zbudowanych przyczepach. Sam pomyślał był wspaniały, ale okazało się później, iż wzięliśmy straszliwie zapluskane maty. Byliśmy uszczęśliwieni, że poszliśmy się Kazachskich pcheł, a tu nowy nabytek, wcale nie mniej dokuczliwy. Dały nam się we znaki przez całą siłą, ale nie było innego wyjścia, rat nie można było wyrzucić, trzeba było cierpieć i ze spokojem to znosić. Na plecionki nanosiliśmy ze stopu suchej trawy, aby było miękko i cieplej. Siano przykryliśmy dywanem, na dywan przedciardza /jeszcze kilka nachowało się/, a naprzec przykrycie służyła nam pierzyna i na nią dwie kołdry. Mimo tak przygotowanego legowiska, siłą, spałyśmy w ubraniu i paltech. Temperatura wewnątrz naszego pomieszczenia była zapewne dużo poniżej zera, gdyż śnieg, jaki nawiewał nam burian do środka, przez okienko, nie topniał wcale. Mama uszyła bratu ze swojego futerka małe palto, które napikowała prawdziwą owcą wełną, kupioną u Kazachów. Mimo to miał kłopot z oszrony noszek z siłą. Wówczas mama karmiła go pierśmi, grzejąc mlekiem i własnym ciałem. Dziś wydaje się fakt, że w takich warunkach miała dla niego pod dostatkiem pokarmu. Prawie do dwóch lat spał pierśmi mamy, ratując tym sposobem swoje życie.

Nie wspominałam jeszcze o jednym ważnym lokatorze, o naszym trzech kucharach. Ulokowali się za ruskim piecem i przez całą siłą, na ziemniaki, niechęć jajka. Co drugi dzień mama przeznaczona jedno jajko dla ciężko chorego starszego pana. Początkowo bronił się, nie chciał przyjmować, mówiąc, iż powinien jeść dzieci. Później jednak widział było, że nawet czekał na swój przydział i

i wypijał jajko na surowo.

Jedna z kur zjadła własne jajko w chwili po ich zniesieniu. Byłam na nią bardzo zła, bo musiałam w tym czasie stać i pilnować aż je zniesie i szybko zabrać. Wystarczył moment nieuwagi, a sprytna kura, w mojej obecności, potrafiła szybko zjeść jajko, gdy natomiast próbowałam odebrać jej jeszcze całe, działała mnie w rękę. Gdy przyszedły ciężkie dni i to właśnie kura jako pierwsza poszła do garnka, płakałam po niej gorzko i nie chciałam jeść przyrządzonego z niej posiłku.

Kury jedły to co my, sasiarki gotowane, gęsty krupnik z wysuszoną chlebem, który w nim maczaliśmy. Przez pewien czas, na początku zimy, jedły nawet pszenicę.

Ubikacji nie wybudowano żadnej. Załatwianie potrzeb odbywało się zimą do naczyn przeznaczonych do tego celu /neczników, wiader, nawet garnków/. Nieczystości wylwane tuż za domem, na stok wzniesienia i z nadejściem wiosny spłynęło wszystko na śnieg.

Nadeczuła gołna zima, ze strachem oczekiwana przez nas, a dotąd nieznaną. Nasze chałupki, wśród ogromnych przestrzeni zasypanych grubą warstwą śniegu, wyglądały jak małe, czarne punkciki w lśniąco-białej masie. Kolor bieli był wesołochwały, nawet zwierzęta również uległy tym prawom i swoje kołowe futra zamieniły na śnieżnobiałe. Widywałam wilki, lisy i sające we wspaniałych, puszystych, białych futrach.

W naszym baraku też nastąpiły widoczne zmiany. Króś dochodzący do 45 C wiskał się przez każdą szparę. Ściany nie były obklejone gliną, na tę czynność nie starczyło nam już czasu. Ziemia i tarcina, z których były wykonane, pokryły się od wewnątrz pomieszczeń grubą warstwą szronu. Przez okienko wiatr nowiał górkę śniegu. Utwierdzała nas w przekonaniu, że temperatura wewnątrz naszego pomieszczenia spadła znacznie poniżej zera. Spaliśmy nie tylko w ubraniach, ale w płaszcach, szalikach, czapkach i ciepłych skarpetach. Ogień w płycie utrzymywany był przez całą dobę nie tylko dla ciepła, ale też z powodu braku szpałek. Opał szybko znikał, trzeba było wyruszyć na jego poszukiwanie. Wychodziliśmy gromadą, aby więcej przynieść i dla samego bezpieczeństwa. Gruba warstwa śniegu była twarda, szło się jak po lodzie, ale nieraz, zupełnie nienacka, wpadało się w śnieg aż po same pachy. Z takiej pułapki samemu trudno było wygrzebać się. Tak więc chodziliśmy całą grupą po kilka kilometrów, bo w pobliżu wszystkie krzaki były już wycięte. Starsi rębali wystające ze śniegu gałęzie, a młodzież, m. in. ja, wiązała ^{ie} ukłócone ^{wr} wiązki, okrywając je szmatami podartymi w długie pasma. Droga powrotna to samarinięte koryta rzeki. Przesroczyły lód sięgał prawie jej dna. Po niesławowicie śliskim lodzie trudno było stąpać nogami owiniętymi w szmaty, a co dopiero ciągnąć za sobą ciężkie, mok-

re gałęzie /do suchych nie można było się dokopać przez grubą warstwę śniegu/. Nogi, mimo grubych swójów szmat, marszyły tak bardzo, że stawały się drętwe. Czujność mamy, jej bystre oczy wielokrotnie uchroniły nas od groźnego wypadku. Grubość tafli lodowej nie wszędzie była jednakowa. Przy brzegach, blisko wystających na powierzchnię krzewów były miejsca o bardzo cienkiej tafli, a nieraz nawet sączyła się woda. Mama zawsze szła przodem, ostrzegając nas przed groźnym niebezpieczeństwem. Mimo ciężkiej pracy mieliśmy i trochę uciechy, spotykając po drodze białego lisa w puszystym futerku lub mającego ogryskającego z soczystej kory ten sam też, który my rewaliliśmy na opał. Zwierzęta te w ogóle nie bały się nas, spokojnie szła w swoim kierunku i nie zmieniając go z naszego powodu.

Po powrocie ręce moczyliśmy w zimnej wodzie, by zmniejszyć dokuczliwość bólu zmarzniętych palców, przyprowadzającego wprost o zdręźki. Wsyzek, wiatr i silny mróz sprawiały, że nasze policzki, mimo złego odżywiania się, stawały się krwistoczerwone.

I tak nasze wędrówki po opał trwały do końca zimy. Tak, porąbany na krótkie patyki, nie się palił - sawierał jeszcze duże soki, i nie dawał prawie wcale ciepła. Wodę gotowało się na nim godzinami. Oj i ciężki był to okres. U wielu rodzin kończyły się skromne zapasy żywności. Przesypiano całe dni, by mniej odczuwać głód. Coraz więcej osób zapadało na szkerbat. W ciągu całej zimy nikt nami nie interesował się. Jeden tylko raz powiadomiono nas, że przywieziono koninę do podziemia mieszkańcom sowchozu. Po obdzieleniu wszystkich Kazachów resztę ochłapów oddano polskim rodzinom. I tak było to wielkie święto. Przez kilka dni jedliśmy mielone kotlety z kucziny. A jak nam smakowały, chociaż nie było ładnych przypraw /mieliśmy jedynie sól bydlęcą przeznaczoną dla owiec do lizania/. I jeszcze raz mieliśmy niespodziankę w postaci przydziału pewnej ilości kiszonej kapusty. Mama ostrzegała wszystkich, by na wygłodzone żołądki bardzo uważać i jeść małe ilości w postaci surpwy. Ci, u których głód zwyciężył rozsądek, odchorewali to bardzo ciężko.

Mimo okropnych warunków nasza rodzina na razie trzymała się zdrowo. Brat mój, Stanisław, najmłodsze dziecko w baraku, choć było bardzo zimno, biegał po wszystkich pomieszczeniach. Okuty w różne szmaty chroniące go częściowo przed zimnem, rozśmieszał wszystkich swym wyglądem; jemu to jednak nie przeszkadzało. Bardziej ruchliwy, zabawny, przynosił nam wiele radości. Nigdy nie płakał i wyglądał na podziw dobrze. Zima, na szczęście, zbliżała się ku końcowi.

15. KAZACHOWIE

Niskiego wzrostu, czarnowłosi, ze małych, skośnych oczach, szerokiej, owalnej twarzy, wystających kości policzkowych, u mężczyzn nogi mocno wykrzywione - kabłakowate, nosy małe o szerokich nosdrzach, prawie płaskie, wargi wąskie, sprawiające wrażenie ściętości, obowiązkowo długi rzadki wąsik i krótka broda, cera żółtościada, latem znacznie ciemniejsza od spiekoty słonecznej. Szybko starzeją się i z wyglądu nie można trafnie ocenić ich wieku. Kobiety zazwyczaj ciche, pokorne, posłuszne, nawet jakby załamane. Mężczyźni natomiast, hałaśliwi, rozgadani, nerwowi, okazujący wobec kobiet swoją wyższość. Chłopców przygotowywano do jazdy konnej już od urodzenia. Jeśli nie udało się im przekazać kabłakowatych nóg jako cechy dziedzicznej, wówczas wkładano między uda odpowiednią deseczkę, dzięki której je wykazywano. Ciekawostką również było to, że nie używano żadnych pieluch. Łóżeczko dziecięce miało wycięty w spodzie otwór, przez który były wydalanymi nieczystości; stale leżało pupą na dziurze. Można sobie wyobrazić jakie to było uciążliwe dla niemowlęcia. Kobiety mające dzieci nie chodziły do pracy, zajmowały się ich wychowaniem oraz obowiązkami domowymi.

Ubiór Kazachów świadczył o ich dawnym dostatnim życiu. Pięknie wyszywane złotymi i srebrnymi niemi czapczaki przypominające papieską piuskę - to nieodłączne letnie nakrycie głowy, zarówno mężczyzn jak i młodych kobiet. Starsze kobiety, latem czy zimą, miały okryte głowy białą chustą specjalnie bardzo wymyślnie wiążaną, okrywającą całkowicie włosy, czoło i część policzków. Bardzo ładnie były wyszywane serdaki kobiet, szyte z czarnego aksamitu. Stroje, jakie nosili Kazachowie, wyglądały na bardzo stare, były wyblakłe od słońca, a mimo to przykuwały uwagę swym bogactwem i pięknem wzorów. Zdobione były również ich letnie domy - jurty oraz pięknie tkane z wełny czarno-białej /naturalny kolor owczej wełny/ dywany. Serdaki i męskie surduty obcisłe, noszone od pokoleń; surduty w części dolnej poszerzone, reszta odzieży surowo męska: koszule męskie, bluzki z szerokimi rękawami, ściśle przylegającymi w przegubach rąk, spodnie męskie i kobiece również szerokie, wiązane na kostkach. Na spodnie kobiety wkładały szerokie spódnice. Cała odzież, poza surdutami i serdakami, wykonana z materiału bawełnianego, cienkiego, białego. Kolor biały utrzymywał się bardzo krótko, gdyż czystością nie grzeszyli i swoich ubiorów chyba w ogóle nie prali. Okrycia zimowe wykonane były w całości z surowców naturalnych i domowym sposobem. Ciepłe spodnie ze skór owczych, wełniane surduty, krótki kołuch owczy, ogromna czapa z rudego lisiego futra, rękawice ze skóry owczej i ciepłe wełniane buty - walenki - to strój Kazacha. W takim stroju legły się niesamowite ilości wasy. Może dlatego ich właściciele byli tacy niespokoj-

ni i ruchliwi?

Bardzo ładnie mieli naczynie, a szczególnie małe czarki do picia herbaty i takie same kazałtem, ale nieco większe do jedzenia "kapszy" - makaronu, żyłki o owalnym kształcie z krótkim uchwytem. Wszystko to wykonane ze specjalnego drewna, malowane w przepiękne kolorowe wzory. Malowidła trwałe, nawet pod wpływem wrzątku nie zmieniły swego żywego koloru. Podobnie jak w całej Azji tak i tu parzenie herbaty i jej picie odgrywało dużą rolę w życiu codziennym tych ludzi. Przy posiłkach i piciu herbaty wszyscy siedzieli po turecku, ze skrzyżowanymi nogami na twarde utkanych matach z wełny. Siedząc wokół kotła, czarpali z niego najpierw kapszę /makaron/, poczynając od najstarszego mężczyzny, następnie kobiety, a na końcu posilaki się dzieci. Danie drugie - to zwykle gotowana baranina lub konina. Mięso jedzono rozrywając rękoma duże kawały. Makaron kobiety wykonywały same w przerażająco złych warunkach higienicznych. W czasie posiłku mężczyźni żywo dyskutowali, mówili prawie jednocześnie, wytwarzał się wesoły jasegot. Im to nie przeszkadzało, nie musieli nawet rozumieć się nawzajem. W tej żywej rozmowie chodziło chyba jedynie o to, żeby продемонstrować swój dobry nastrój. Kobiety na ogół siedziały cicho, pokorne, włączając się w rozmowę i usługując przy posiłku. Jednocześnie brały na końcu, to, co zostawało. Czuły wobec mężczyzn duży respekt. Do pracy narobkowej byli przede wszystkim zobowiązani mężczyźni, kobiety natomiast, tak jak dawniej sprawowały obowiązki rodzinne, domowe. Inaczej niż w koczowniczych i nomadycznych plemionach Kaukazu, gdzie przymusem pracy byli objęci wszyscy od 14 lat do późnej starości. U Kazachów tradycje ogniska domowego, którego pielęgnowanie należało do kobiety, pozostało utrzymywane.

Życie Kazachów latem wyglądało zupełnie inaczej. Wyjeżdżali daleko od swych wioskowych domów - ziemianek. W ciągu sezonu zmieniali miejsce pobytu kilkakrotnie. W miejscu pobytu budowali tzw. jurty. Szkielet takiej jurty - szkieletu przytrzymujący ciężkie wojskowe przykrycie, nieprzemakalne, był wykonany z gałęzi taku, specjalnie przygotowanych, odpowiednio wygiętych; po złożeniu tworzyły kształt kopuły. Na jednym czubku pozostał otwór służący do ujścia dymu z ogniska, palącego się całą dobę, na środku jurty. Pozostałą jej część wykorzystywano na spanie, jedzenie i magazyn - miejsce na rzeczy i produkty; stały tu duże, drewniane, bardzo stare kufry, pięknie zdobione. Wejście do jurty przykrywane na noc wojskowym, a na dzień odsłaniano. Tworzący się pod powietrzem wywiewał dym prosto do otworu w dachu. Ze względu na panujące upały dochodzące do 45 C, większą część dnia kobiety i dzieci spędzały w jurcie. Mężczyźni zaś, bardziej przyswycaszani i odporni, całe dni przebywali na pastwiskach, pilnując owiec i bydła. Potrafili przez cały dzień, mimo słońca

spiekoty jeździć na koniach, nie czując zmęczenia. Konie stepowe były bardzo niskie, krępe i bardzo uległe rozkazom gospodarza. Zwierzęciem typowo pociągowym był wół. Natomiast do dalszych podróży używano wielbłądy, kapryśne, ale niesamowicie wytrzymałe. Objężdżali pasące się stada owiec, sawracając niesforną sztukę przy pomocy przenikliwego krzyku, strzelającego raz po raz w powietrze białą oraz "czerną", dobrze spełniającego swe obowiązki, kurdelka. Stada były jednak dyscyplinowane i nie sprawiały większych trudności pasterzom, dopóki miały co jeść. Jednakże trawa szybko znikała spod nóg zgłodniałych zwierząt i wówczas zaczynały się prawdziwe kłopoty. Tysiące ich pędziły przed siebie, nie bacząc na żadne wołania i przeszkody. Przebiegały nieraz po kilka kilometrów, aż przewodnik - baran zatrzymał się na popas i wówczas stado uspokajało się.

Owce wypędzane z owczarni z nadejściem wiosny, gdy tylko zniknął śnieg ze stepowej przestrzeni. Pasterze mieli od lat ustalone miejsca popasów i zmieniali je co pewien czas. Przenoszenie się z jednego miejsca na inne było regułą przyjętą od niepamiętnych czasów. Jest to bowiem lud koczowniczy. Ogromne przestrzenie zupełnie nie zaludnione sprzyjały takiemu trybowi życia. Wszystkie czynności związane z przetrwaniem zimą owczego narodu odbywały się właśnie tam, daleko od sownoży. Do magazynu przywołano już gotowy produkt - małe beczki napełnione pyszną bryndzą. Strzyżenie owiec dokonywano przed wypędzeniem na pastwiska, a następnie późną jesienią kiedy owce były już w owczarni.

Dziwno swyczała Kazachów oraz oszkowity brak higieny w początkowym okresie przerażały nas. Nie mogliśmy pić mleka, w którym pływała utopiona pchła lub wosa, odstraszały brudne naczyńca, nie mogliśmy jeść makaronu, który przed gotowaniem suszył się na brudnej szmatce czy ścierece, służącej wcześniej do wycierania się. Szybko jednak zmazzeni byliśmy sytuacją głodową, do zrezygnowania ze swoich "wygórowanych" wymagań higienicznych. Jeśli tylko byliśmy łaskawi nas poczęstować, zjadaliśmy z apetytem smaczną zapiekankę lub wypijaliśmy podane mleko, wyjmując palcem pływające insekty. Ale obrazek, jaki zobaczyliśmy na samym początku naszego pobytu, był dla nas prawdziwym szokiem. W niedalkiej odległości od nas stały dwie kobiety: jedna oparta o wół, lekko nachyloną, druga masowała jej spódnicę na głowę i w narzeczeniach, na pasie zaczęła przeszukiwanie. Zwinnie przebieierała palcami, wyjmowała wosy, brała je na sęby i po zmięczeniu wypławała kupinkę. Czynność ta wyglądała zupełnie jak szukanie pestek słonecznika, bardzo tam sresztą rozpowszechnione. Insektami nie przejmowano się, ale ich brakiem - tak! Oszkowik, którego nie trzymają się wosy, nie będzie tuż. Przesąd ten był bardzo w ich kulturze bardzo zakorzeniony i być może. *thw*

Jeżeli w nich jakaś surowa prawda oparta na doświadczeniach wielu pokoleń tego plemienia dla nas jednak niezrozumiała i szokująca. Oni nas traktowali to tak poważnie, że gdy pewnego razu mama zastała w jurole lamentującą nad dzieckiem kobietę, ta wyjaśniła, że jej syn umrze, bo nie ma wody, chociaż ona wkładała mu do szcisk swoje, a on w dalszym ciągu ich nie ma.

W tym ogólnym braku higieny, zadziwiająco jest to, że kobiety chodziły za swoją potrzebą z szajnk naczyniem napełnionym wodą. Były one naczynia przeważnie wykonane z brązu o bardzo ładnych kształtach i służyły tylko i wyłącznie do tego celu.

Przytoczyłam wiele przykładów świadczących o zupełnie odrębnej kulturze tych ludzi, tak odrębnej, że różnice uniemożliwiały dalsze wzajemne poznanie się. Zraziliśmy ich do siebie tym, że jedliśmy wieprzowinę. Wytarczyło pokazać kawałek słoniny, a odchodzili natychmiast, plując na boki. Poczatkowo zainteresowanie nami było bardzo duże, nie mogliśmy się ich pozbyć z baraku. Przychodzili i przyglądali się nam całymi godzinami. Przypadek sprawił /smakona słonina na patelni/, że więcej się u nas nie pokasali. Wzgardzili się chropnie wieprzowiną i tymi, którzy ją spożywali. Natomiast ulubioną ich potrawą była zapasa gotowana na baraninie /bardzo gusta/, mięso baranie gotowane, konina, mleko kobyłe i sery owoce różnego asortymentu. Pili również mleko krowie. Nie używali żadnych przypraw, poza solą, i nie jedli żadnych owoców ani warzyw poza arbuzami i melonami.

Stosunki między nami ograniczały się więc do niezbędnych tylko kontaktów. Nie traktowali nas jak wrogów, jak to działo się w innych lokchozach i sowchozach zamieszkałych przez inne plemie. Obcyli czynili nas odrębność wyglądu, kultury. Nie udawało się nam nawet sprzedać naszej odzieży, zupełnie nie odpowiadała im krojem, kolorem. Nie mieli z nami żadnego punktu wspólnego. Jedynie chyba to, że im również odebrano wolność. Nas jednak traktowano bardziej rygorystycznie.

16. DO ROBOTY !

Nadzieja upragniona wiosną. Upragniona dlatego, że z jej nadejściem mogłam znów napawać swój wach pięknością przyrody, bawić się i biegać po stepie, używać do woli świeżego powietrza i ciepła słonecznego. Mieliliśmy wszyscy naprawdę dość siedzenia w podziemi, spania bez umiaru dla zabicia czasu i doskwierającego głodu. Znikliśmy w swoich barakach na całą zimę, jak chomiki stepowe w swoich norach. Wychodziliśmy tylko po opał. Z wiosną na wstępowała w nas nadzieja, że wreszcie przemarzniętych ograje słońce, że można będzie wykopać się w całości czystej wodzie rzecznej, zlikwidować

wszyscy

insekty, jakie nas opanowały. Mało tego, że gryzły nas niemiłosiernie, to jeszcze na domiar złego rozmnożyły się niesamowicie pluskwy z plecionek owczych, które służyły nam jako łoża. Dalsze leżenie w pościeli stawało się nie do zniesienia. Słońce, które coraz dłużej świeciło w naszej okienko, stawało się nadzieją na lepsze. Doczekaliśmy własny! Mimo tej radości nie można było uwolnić się od dokuczliwego głodu. Minęły groźne rozstopy. Rozlewisko wody, sięgające horyzontu, stopniowo zmniejszało się i rzeka wróciła do letniego koryta, tuż u podnóża naszego wzniesienia. Odsłoniły się śnów ogromne skały z różnymi wyrzeźbionymi przez wodę zakamarkami. Było to nasze /wszystkich dzieci polskich/ najbardziej ulubione miejsce zabaw. Dziwno, że nigdy nie widziałem tam bawiących się dzieci kasachskich. Nie widziałem ich również biegających po stepie, tak jak my to czyniliśmy.

Spędzaliśmy nad wodą całe dnie. Chłopczy wyrusiali na połowy ryb. Rozlana rzeka zostawiła na swoim drugim płaskim brzegu małe rozlewiska, w których można było złapać wspaniałe ryby. Łowiono je serwetami, obrusami, jakie nam jeszcze pozostały. To samo czynili tubylcy, łowiąc specjalnymi koszami wplecionymi z łażu. Złościli się na naszych chłopców i gonili ich od rozlewisk. Łowiono więc ukradkiem lub w bardziej odległych miejscach, ale tam rzadko udawało się coś zdobyć. Ryba była bliżej koryta rzeki. Udało się połowy podtrzymywały naszą kondycję fizyczną. Zdobycie dzielono dla wszystkich sprawiedliwie. W miarę ocieplania się wysychały małe jeziorka, woda wsiąkała w ziemię i źródło pożywienia przedstawało istnieć. Łowienie w rzecce było niemożliwe. Pod wpływem promieni słonecznych woda nagrzewała się bardzo mocno i ryba szukała schronienia w głębinach nam nie dostępnych. Na płytszych wodach bardzo przyjemna była kąpiel. Szybko nauczyłam się pływać i chętnie koresystałam w wolnych chwilach z tej uciechy. Czasu wolnego było jednak niewiele. Mama z siostrą musiały iść do pracy. Na mnie spadł obowiązek i wielka odpowiedzialność pilnowania małego brata.

Miał już prawie dwa lata, kiedy mama przestała karmić go pierniką. Wymie niaka więc, co tylko było możliwe, na mleko krowie, żeby chociaż on nie odczuwał głodu. Rozwijał się zupełnie prawidłowo, biegał, ładnie już mówił, miał bardzo wesołe usposobienie. Jego wszędobylstwo musiało być stale kontrolowane. Pasa małymi przerwami przeznaczonymi na sen musiałam przebywać z nim stale. Moje stepowe spacerunki były krótsze, gdyż chodziłam razem z nim, zabierałam małego również na kąpiele w rzecce.

Wszystkich Polaków w tam. wieku produkcyjnym przewodniczący sowchozu pogonił do roboty. Część osób zatrudniono przy pielęgnacji i uprawie warzyw- pomidorów, ogórków i arbusów, pozostałych zaś do pasienia owiec, czyszczenia po zimie owczarni i obory i robienia z nawozu opału. Nawóz mieszano z odpadami słomy i siana, wywołano na wielką płaską przestrzeń,

dolewane wody, mieszano nogami, a następnie formowano rękoma duże placki i pozostawiano je do wyschnięcia. Tak przygotowany opał był bardziej kaloryczny niż znajdowane w stepie kisiaki, palił się dłużej i dawał ciepło prawie takie jak węgiel brunatny. Przeszacowany był jednak tylko dla rodzin Kazachów.

Oni, którzy pracowali przy zakładaniu inspektów i szykowaniu siemi pod uprawę, mieli równie ciężką pracę, ale mniej śmierdzącą. Zakładanie ogrodu było nowością, eksperymentem i do tej pracy zatrudniono właśnie Polki. Wyznaczono dość duży teren - ruiny dawnych domów, osłonięty od wiatru, nawieszono siemi próchniejącej - maku rzecznego i zasadzono pierwsze warzywa takie jak ogórki, pomidory, nawet trochę siemniaków i tradycyjnie arbuzy i melony. Nie dane nam było korzystać z owoców tej pracy, wyjechaliśmy znacznie wcześniej.

Godzienne polewanie tego ogrodu było także bardzo trudną i ciężką pracą. Trzeba było nosić niesamowicie dużą ilość wiader wody z rzeki po wysokim stromym zboczu. Biedne, głodne kobiety nieraz padały pod ciężarem wiader, gdy próbowały wejść pod górę po szalonym wodą, śliskim zboczu. Tam też pracowała mama.

Siostra była zatrudniona wczesną wiosną przy doglądaniu owiec. Zwierzęta zapędzono sztucznie, jednocześnie, kociły się również prawie w jednym czasie. Zadaniem jej było tylko karmienie, pilnowanie małego potomstwa oraz czyszczenie stanowisk. Pracę swoją wykonywała jak mogła najlepiej, mimo to w dość szybkim krótkim czasie w jej stadzie padło sporo jagniąt. Przewodniczący krzyżując wymyślał, że nie pilnuje młodych, że samą niedbaje swoje obowiązki. Przychodziła z pracy zapłakana i bała się tam wracać. Później okazało się, że kazachscy opiekunowie innych stad, podrzucali siostrze swoje padłe jagnięta, zabierając żywe. Uzyskiwała w ten sposób 100% wychów, otrzymując w nagrodę premię. Sobie nawzajem takich ów świństw nie robili. Udało się mamie, z wielkim trudem, przenieść siostrę do innej pracy, która okazała się jeszcze gorzszą. Po drugiej stronie rzeki pracowała brygada kazachska przy sianokosach. Było kilka jurt, w których mieszkali przez cały okres sianokosów. Siostra miała przejść przez rzekę, dołączyć do brygady i zamieszkać z nimi. Nigdy dotychczas nie była poza domem sama. Miała zaledwie 16 lat. Nie było jednak innego wyjścia. Odechnęła od nos z płaczem i strachem widocznym w jej oczach. Nowa praca polegała na prowadzeniu pary wołów zaprzętych do kociarki. W czasie silnych upałów woły nie chciały ciągnąć, kładły się na trawę lub uciekały w step od gryzących owadów. W takim przypadku, siostra i panicznie bojąc się tych zwierząt siostra, nie mogła ich utrzymać. Woły albo nie chciały ciągnąć, albo pędziły przed siebie jak szalone, ona zaś stawała i patrzyła bezradnie za nimi. Kazach jeżdżący na kociarce szukał z niej dla bez-

pieczeństwa i wymachując batem, krzyczał na siostrę, która nie bardzo wiedziała za co. Upływało wiele czasu, zanim Kasach odnalazł woły i przyprowadził je na miejsce pracy. Siostra tymczasem siadała w wysoką trawę i niewidoczna mogła wypłakać się do woli.

Początkowo mama co wieczór przeprowadzała się przez rzekę i szła kilka kilometrów do jurt kasachskich. Niosła biuń² dziewczynie przede wszystkim pociechę, od czasu do czasu kawałek lepianki /placka/, sprawdzała, czy nie dzieje się coś złego, jak ją tam traktują i czy mężczyźni nie napastują jej - to była największa obawa mamy. Powroty były późne, zwykle przychodziła już nocą.

Ciężki to był okres dla nas. Każdy dzień to walka o życie, o przetrwanie. W ciągu dnia mama miała dwugodzinną przerwę na posiłek i odpoczynek, a po niej znów pracowała aż do zachodu słońca.

W porze południowej promienie słoneczne nagrzewały tak mocno ziemię, że bosą nogą nie można było stać na miejscu. Nogi same, odruchowo podskakiwały i chód stawał się, mimo woli biegiem. O takiej porze, codziennie, musiałam chodzić, do oddalonych o kilka kilometrów jurt kasachskich, po mleko dla brata. Mama była wtedy wolna i przejmowała opiekę nad bratem. Droga, którą biegłam, miała kolor ceglasty, a jej powierzchnia była wysuszona, miękka jak puch i tym bardziej piekąca w boso nogi. Dziwiłam się, że na takiej ziemi urosły te bajne trawy, te wspaniałe roślinność stepowa, teraz już wysuszone, obumarte. Każde uderzenie stopą powodowało unoszenie się ceglatego pyłu, który wkrótce pokrywał cały mój strój. Rozgrzane powietrze utrudniało oddech. Zmęczona do ostatniej granicy musiałam wracać jeszcze szybciej, by nieko wydejonę w południe nie straciła, zanim dobiegnę do domu. Ustąpienia noga były wąte latające na drodze lub w trawie, tuż na obrzeżach drogi. Niektóre, przy zbliżaniu się unikały w trawę, ale były i takie, które uparcie leżały. Musiałam wówczas omijać je schodząc na po-bocone w klującą roślinność. Obawiałam się tego najbardziej, by nie nastąpić bosą nogą na któregoś gada. Nie o nich nie wiedziałam, czy są jadowite, niebezpieczne, czy też niegroźne.

Mimo zmęczenia i codziennie przeżywanego na nowo strachu byłam szczęśliwa, gdy mnie powracając witał radosny uśmiech mamy.

Po miesiącu ciężkiej pracy wypłacone mamie niewielką sumę pieniędzy, siostrze jeszcze mniej, bo potrącone za padłe jagnięta. Poza mlekiem nie ma te pieniądze nie można było kupić. Jak dalej być, nie mogliśmy co jeść, nikt się nami nie interesował,

17. GŁÓD

Jestem coraz bardziej wyczerpani głodem. Nie ma mowy o jakiegokolwiek poprawie. Coraz częściej bywają dni bez żadnego posiłku. Skądś czyta się również odnieść do wymiany. U Koczów również przednówek. Coraz więcej żądano za lepłoski. Są to placki pieczone z maki pszennej. Twardo zagnieciono ciasto z dodatkiem miodzatego mleka i wody, bardzo dobrze wyrobione, bez żadnych środków spulchniających, piekło się w dwóch okrągłych patelniach /bez uchwyłów/ osypanych żarem. Trzeba było mieć dużą wysawę, by takie lepłoski piec. Tylko o tym marzyłam, żeby zdobyć trochę maki i zpiec upiec te pyszne placki. Śmakowały nam pewnie dlatego, że byliśmy wciąż głodni.

Mama nie wytrzymując nerwowo takiej sytuacji, wybrała się z kilkoma innymi osobami na rozmowę do przewodniczącego sowchozu. Przedstawiła w szczególności nasze warunki. Odpowiedź, choć prawdziwa, wydawała się namie nieludzka, nie mogła zrozumieć, że wykonując posłuszenie wszystkie polecenia, ciężko pracując, nie mamy prawa nawet do otrzymania jedzenia. A odpowiedź ta brzmiała: "My miejscowi też nie jesteśmy syści, to okres trudny dla wszystkich". Mój Boże! Nie być sytym a przynierać z głodu to przecież ogromna różnica! Na dowiar złego, następnego dnia zwołał zebranie Polaków, na którym oznajmił, że bez jego osobistej zgody nie wolno nikomu oddalać się od sowchozu. Takie polecenie otrzygnięte od władz zwierzchnich. Mama na to zebranie nie poszła. Po powrocie nasze panie były zupełnie zżewane. Wiedziaki bowiem o tym, że mama postanowiła wybrać się do pobliskiego kołchozu oddalonego o 25 km w poszukiwaniu ratunku. Nie poddała się temu zarządzeniu i w tajemnicy szływała się do drogi. Zebrała od wszystkich rodzin trochę odzieży, która jeszcze nadawała się do wymiany, postanowiła zabrać ze sobą mnie i jeszcze 14-letniego chłopaka. Miałam wówczas 12 lat ale byłam nad wiek wyrośnięta, tylko bardzo chuda, dawałam sobie radę w różnych trudnych sytuacjach. Wyłączałam mamę opiekując się bratem, gotowałam, prałam, zajmowałam się w opał, wodę, załatwiałam transakcje handlowe - wymianę odzieży na żywność. Ukatawałam mamie jak mogłam nasze trudne i smutne życie. Ciężko było z mojej zaradności i wiedziaka, że choć jestem jeszcze dzieckiem, dam sobie radę i w tej sytuacji. W dwa dni później od planowanego zebrania wysuszyliśmy w drogę bardzo wczesnym rankiem, ledwo zaczęło świtać. W obawie, żeby nas nie zauważono, przechodziliśmy obok okien domów chytliwym. Po powrocie mama miała tknąć się w następujący sposób: na zebraniu nie była, o zakazie nie wiedziaka, pracę opuściła z konieczności kupienia dzieciom chleba. Dla upewnienia się wysłała wcześniej dwie Polki, by zapytały, czy mogą pójść do kołchozu po chleb. Spotkały się z kategoryczną odmową przewodniczącego. Krytyczna sytuacja musiała więc nas

do podjęcia decyzji szybkiej, odwrotnej, graniczącej z desperacją.

18. ZA CHLEBEM

Wschód słońca mieliśmy na plecach. Co chwila odwracaliśmy głowy, by podziwiać jego piękno. Odeszliśmy od sowchozu około 1,5- 2 km. Przebrnęliśmy dość głęboki wąwóz, rzekę, której wody w tym miejscu sięgały zaledwie do pasa. Przed nami wąska wstęga drogi prowadzącej różnymi, wyniosłymi zakrętami przez przepiękny świat stepu. Swoją zachwyty wyrzucił wraz z chłopakiem towarzyszącym nam, głośnymi okrzykami. Mama, natomiast niespokojnie rozglądała się. Szczególnie często kierowała wzrok na koczoch, coraz bardziej malejącej, w miarę oddalania się. W pewnej chwili odwróciła się i powiedziała do nas: "Spójrzcie jak Kazach pędzi na koniu drogą rozwidlającą się od naszej na lewo! Pojechał zapewne zawiadomić władze rejonowe o fakcie wyjścia z sowchozu bez zezwolenia. Niepokój okazał się uzasadniony, a przypuszczenie prawdziwe. Przystępnym krokiem, step wydawał się nam już mniej piękny. Zapanowało milczenie. Byliśmy przerażeni i głodni. Nie mieliśmy ze sobą nic do jedzenia, a droga przed nami była jeszcze bardzo daleka. Coraz częściej prosiliśmy mamę o odpoczynek. Słońce bezlitośnie paliło na gołej przestrzeni, żeby chociaż odrobina wiatru, a tu nic. Żar słoneczny przyprawiający o mdlenie, głód, coraz większe zmęczenie. Prawie skończyła się woda - pijemy już tylko po jednym łyku. Ale oto słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Mama wskazała nam ręką widniejące w oddali wierzgi mówiąc: "Za tymi górkami, moje dzieci, jest koczoch rosyjski - cel naszej podróży! Patrząc na te wierzgi, spostrzeżliśmy stary punkt, którego kształty rozpoznaliśmy już po chwili. Była to drewniana buda na czterech kołach z długim dyszlem, niaka nawet dla osienca z zasłonkami i drzwiami. Z ostrożnością podchodziliśmy coraz bliżej. Zaczęło się ściemniać i mama postanowiła tu odpocząć. Na zachodzie pozostał żuk światła, jakby słońce nie zaszło do końca. Emocjonalnie wzięte górę nad strachem, postanowiliśmy tu zamocować. Mama zastukała do drzwi, nikt nie odpowiedział, otworzyła je pytając: Czy jest tam ktoś? Koczoch milczał. Kazała nam wejść do środka, ułożyła nas na jakichś ubraniach, przykryła lnianymi i nasza zasnęliśmy. Mama pozostała na zewnątrz, usiadła na schodkach wejściowych i tak doczekała się właścicieli tej budy. Byli to opiekunowie stada krow, które pasło się poza koczochem, na stepie. Przynieśli oni ze sobą dużą kankę jeść oraz świętego ciepłego po udoju mleka, w wodzie zaś mieli biszty i smaczny chleb. Oddali nam także swoje jedzenie. Jacy byliśmy im wdzięczni. Po raz pierwszy od wielu miesięcy posiłek tak smaczny i do syta. Smak tego chleba i mleka długo pamiętałam. Sen nasz był już spokojny do samego rana. Kobie-

ty i dziewczyny z tego wozu długo wypytywały mamę o wszystko, co dotyczyło nas - sześciaków. Rozmowy już nie słyszałam, dowiedziałam się o niej następnego dnia. Nasza mama zniknęła niewiele spała. Wstała razem z dojarzami i wchodzącym słońcem. Obudziła nas. Dostaliśmy na drogę bechen chleba, co za radość! Na dworze było jeszcze chłodno, szybko więc minęła senność. Raźnie ruszyliśmy w dalszą drogę. Przeszliśmy parę kilometrów, gdy zza wzgórza ukazały się nam chaty kołchozu. Weszliśmy do pierwszej z nich. I tu od razu czekała niemiła niespodzianka. Gospodyni już o nas wiedziała, poinformowana ją w ascegózach. Powiedziała, że w kołchozie czeka na nas NKWD. Przejechało ich dwóch, pan jeszcze poprzedniego dnia i polecił nam miejscowej ludności, aby zgłoszone natychmiast przyjechać Polki z dwójkiem dzieci. Gospodyni mocno wystraszona, uspokoiła się natychmiast, kiedy zobaczyła rzeczy, które mama /dobry psycholog/ rozłożyła szybko przed nią i kazała wybierać. Kobieta oglądała je z wielkim zainteresowaniem, wybrała kilka sztuk i zapłaciła mąką. Ten produkt był dla nas najcenniejszy. Zdobyliśmy przychylność gospodyni. Wykorzystując wczesną porę, w najbliższych chatkach wymieniliśmy pozostałe rzeczy na mąkę, jajka, masło, słoninę i chleb. Wszystko robiliśmy w wielkim pośpiechu. Produkty sebrane były u gospodyni z pierwszej chaty. Część z nich nie została jeszcze odebrana, tak było np. z masłem, które dopiero miało być ubite. Tymczasem enkawdziści już wstali ze snu i przystąpili do spełniania misji, jaką im powierzone. Ktoś im doniósł o naszej obecności, bo przyszli gościć do naszej chaty z poleceniem natychmiastowego stawienia się. Mama odpowiedziała, że ma silny atak kamicy śluzowej i nie może wstać - leżała na gługiej zawie przy stole. A że chorowała na tę dolegliwość, nietrudno było, tym razem udawać. Prosiła o przekasanie, że jak tylko poczuje się lepiej, bezwzględnie przyjdzie. Chodziło o uzyskanie na czasie, aby odebrać pozostałą żywność. Kazała nam iść do tych domów, w których gospodynie szykowały towary, przynieść go i czekać na mamę. Sama, po pewnym czasie, poszła na wezwanie. Można sobie wyobrazić pierwszą ich reakcję. Byli wściekli na widok mamy. Niesłychane, żeby tak lekceważył władzę. Jeden z nich ubrany był w wojskowy mundur. Wrzeszczał na mamę, waląc pięścią w stół, przy którym siedział. Wymyślał i wyliczał wszystkie przestępstwa, jakich się dopuściła, przychodząc tu. Konsternacja nawtaąpiła wówczas, gdy mama, po wysłuchaniu, spokojnym głosem, w poprawnym języku rosyjskim wyłożyła swoje racje. Niekł po każdym wypowiedzianym zdaniu. Na zakończenie, już mocno drżącym głosem spytała: "Czy przywieźliście nas na sąładę, na śmierć, powiedzcie to otwarcie, przestaniemy wówczas walczyć o przetrwanie, o życie. Nie wytrzymać i rozpłakała się. Niesczekiwanie usłyszała, tym razem już spokojny głos swego przedładowcy. Uspokajał mamę, pytał jak się czuje i zaproponował, żeby kilka dni odpoczęła przed powrotem do sowchozu. Poprzednio ka-

mał wracać natychmiast. Mama podziękowała i powiedziała, że musi wracać jak najszybciej, bo tam czekają głodne dzieci, a więc ruszamy jutro rano. Na zakończenie rozmowy przekazał mamie radosną wiadomość, że w niedługim czasie obejmie nas amnestia /byliśmy przecież traktowani jako aresztanci/ i będziemy mogli zamieszkać w Kazachstanie w dowolnie wybranej miejscowości. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, ale była to przecież informacja od największej władzy na tym terenie. Kiedy mama radosna wracała do naszej chaty, my czekaliśmy na nią, drżąc ze strachu. Co z nami będzie, jeśli mamę aresztują, zapewne zabiorą nas do sierocińca, rodziców z rodziną. Nachodziły nas najgorsze myśli. A tymczasem takie pomyślnie zakończenie. Należało jak najszybciej zanieść tę wiadomość do sowchozu. Czekano tam na nas z wielkim niepokojem. Wiedzieli przecież o wysłanej wiadomości do władz. Spodziewano się najgorszego - aresztowania mamy. Stracono też nadzieję na otrzymanie produktów, które miały przybyć wraz z nami. Następnego ranka wstajemy bardzo wczesnie i po śniadaniu ruszamy w drogę powrotną. Ranek był dość mglisty, chłodny, czuło się dużo wilgoci w powietrzu. Czyżby pierwszy letni deszcz, jaki zobaczymy w tym suchym klimacie? Jest to dla nas niebezpieczne, nieśliśmy w workach sporo maki, która nie może zmoknąć. Jak ją zabezpieczymy w razie ulewy? Byłoby to okropne, gdyby się zmarnowała. Od niej zależy nasze dalsze życie. Przeszliśmy około 7 km. Z przerażeniem patrzymy jak z zachodu nadciąga ogromna, czarna chmura. Zerwał się dość silny wiatr, chmura szybko sблиła się w naszym kierunku. Widać już było błyskawice oświetlające całe niebo i grzmoty tak silne, że czuło się drżenie ziemi. Wokoło nas goły step. Nie martwimy się o siebie, ale co zrobić z mąką? Deszczu jeszcze nie ma, ale wisi tu, tuż. Znajdujemy wreszcie schronienie - na cmentarzu! Skąd tu cmentarz? Nie widzieliśmy go poprzednio. Nikt przecież nie wywozi i nie chowa zmarłych tak daleko. Mama wyjaśniła nam, że jest to bardzo stare cmentarzysko kazachskie. Domostwa mieszkańców zostały zniszczone z powierzchni ziemi, nie było po nich śladu. Grobowce zbudowane z kamienia płaskiego miały wejście, przez które można było dostać się do wnętrza. Nie pozostawało nam nic innego jak schronić się w takim dole. Przebywanie na otwartej przestrzeni było również niebezpieczne ze względu na trzaskające pioruny. Ja z mamą weszłam do jednego grobowca, a chłopiec do drugiego, bo z nami trudno było się zmieścić. Zabezpieczyliśmy odpowiednio żywność i jak na sawożach nie lunął deszcz. Wyciśnięta ziemia chłonęła deszczową wodę. My na razie byliśmy suchy. W czasie największej ulewy przyspieszył do nas z płaczem mój towarzyszący podróży. Mówił mamie, wciąż płacząc, że w tym grobowcu jest pełno ludzkich kości i on strasnie się boi. Ścisnęliśmy się jak tylko było to możliwe i weszliśmy do nas. Po tej ulewie zaświtało nagle słońce i ukazało się zupełnie czyste niebo, jakby chmura, którą widzieliśmy, ca-

że spadł na siewię. Gdyby nie mokra ziemia i ogromne kałuże, trudno by było uwierzyć, że przed chwilą widzieliśmy burzę.

Byliśmy już bardzo głodni, ale miejsce nie było odpowiednie do spożycia posiłku. Ruszyliśmy czym prędzej z cmentarza w dalszą drogę. Po kilku kilometrach nogi zaczęły odmawiać nam posłuszeństwa. Droga rozmiękała, gliniasta maź oblepiała nam stopy, które zamiast iść do przodu, ślizgały się do boku. Trzeba było wziąć duże rozlewiska wody, jakie powstęły na drodze przez co kilometry wyślizgały się, a sił brakowało. Worek z mąką ciążył mi na plecach, w ręku niosłam jeszcze inne produkty. Nie widziałam już nic wokół siebie, ani pięknego stepu, ani niebieskiego nieba. Widziałam tylko niekoncząca się drogę, po której nie mogłam już iść. Ten worek ciągnący na moim grzbiecie, tak bardzo chciałam zdjąć, ale gdzie go postawić, wszędzie woda, wszędzie mokro. Znowu idziemy w milczeniu, tym razem z powodu smęczenia. Nie wiem ile kilogramów mąki było w tym worku, ale jego ciężar czuję do dziś. Nie było suchego miejsca na odpoczynek, szliśmy bez przerwy w całkowitym milczeniu. Mama później opowiadała, że płakała po cichu, patrząc na mnie jak ciągnę swoją kurteczką po wodzie i błocie, nie mogąc jej podnieść z braku sił. I tak pokonywaliśmy kilometr za kilometrem. Wreszcie koniec naszej wędrówki, z daleka widać już lepianki naszego sowchozu. Mimo najszerszych chęci nie możemy dalej iść. Zatrzymujemy się około 2 km przed sowchozem, w chacie opuszczonej przez Kazachów na okres letni. Obok chaty ogromna owczarnia również opustoszała. Nigdy przedtem nie byłam w tym miejscu. Mama postanowiła przygotować nam posiłek - jajecnicę na szoninie. Jakże to było smaczne. Szoninę i jaja usmażyła w dużym kubku nad ogniskiem. Zapalki sawsze miała przy sobie, bo paliła macherkę, o którą nie było tam specjalnie trudno. Jemy z jednego kubka, po kolei - skórkę od chleba.

W chacie tej opadły nas chmury wygłodniałych, drobniutkich pcheł. Nieśamowicie dokuczliwe te stworzenia. Nie było mowy o dłuższym odpoczynku.

Ściemniło się zupełnie, jak dotarliśmy do naszej lepianki. Mimo smęczenia długo musiała mama opowiadać wszystkim o tym, co przeżyliśmy.

19. AMNESTIA

Zapowiedź amnestii i wiążącej się z tym wolności, choć ograniczonej do swobodnego poruszenia się tylko po obszarze Kazachstanu, dawała nam poczucie pewności siebie. Znikło uczucie bojaźni przed miejscowymi władzami. Kiedy przewodniczący Kazach wezwał mnie na rozmowę, po naszym powrocie z Wołchozu, mogła mu śmiało powiedzieć czego oczekujemy. Czekaliśmy momentu oficjalnego ogłoszenia amnestii. Rozmowa ta uspokoiła nerwowego władcę do końca naszego pobytu. Nie miał już ochoty na wrzaski z byle powodu.

Kadość i otucha zapanaowała wśród polskich rodzin. Przyniesione produkty podreperowały nieco siły fizyczne. Srute już szerokie plany, gdzie kto wyjedzie po amnestii. Potworzyły się "grupy wyjazdowe". Po naszym udanym zakupie w kolchozie rosyjskim, większość rodzin postanowiła wyruszyć właśnie tam. Z opowiadań mamy wnioskowano, że kolchos jest dość bogaty i będzie mógł wyżywić jeszcze kilka rodzin. Oczywiście pójdą do pracy i zarobią na swoje utrzymanie. Część rodzin przypomniła sobie sowchos, w którym byliśmyaledwie kilka tygodni. Przypomnieli sobie obfitość ryb, dostatek chleba i pragnęli tam wrócić. Mama natomiast smuła plany zupełnie odmienne. Postanowiła pojechać do Atbasaru. Namawiała inne rodziny, by dołączyły do nas, baż się wyruszyć w tak daleką drogę sama, tylko z dziećmi. Przyniosła argument najważniejszy, że jest tam dość duże skupisko Polaków, że jest to miasteczko i dopływ wiadomości jest znacznie lepszy. W późniejszym czasie argument ten okazał się bardzo istotny. Wszyscy ci, którzy wyjechali do kolchozu i sowchozu, mieli niesamowicie utrudniony kontakt z delegaturą mieszczącą się w Atbasarze, Akmolesku i innych miastach. Byli więc zmuszeni pokonywać ogromne odległości, najczęściej pieszo. Następnie ci, którym udało się załatwić wyjazd do Polski w 1946 r., a byli i tacy, którym odmówiono, musieli zostawić wszystko, co jeszcze mieli i z tobołkami żywności na plecach przemierzać setki kilometrów, by dostać się do transportu kolejowego jadącego do Polski. Drogo ich kosztowała chęć zaspokojenia jedynie głodu i znalezienia szybko stabilizacji, bez perspektywicznego spojrzenia na swój los. W drodze powrotnej, w transporcie, spotkaliśmy niektóre rodziny. W rozmowie padły nazwiska osób, które nie strzymały się swolentnie na wyjazd. Opowiadali o tragedii, jaką przeżywali ci ludzie, a której w słowach nie da się ująć. ~~Nadszedł wreszcie upragniony dzień amnestii, był to koniec lipca lub początek sierpnia. Można było realizować swoje plany. Mama nie zmieniła postanowienia. Poprosiła o furmankę z woźkami, woźnicą i tylko nasza rodzina wsiadła na ten wóz. Pozostałe dwa wozy wypełniły rodziny jadące do rosyjskiego sowchozu i kolchozu. Podziwiano naszą odwagę, proszono, by zrezygnować, nikt jednak nie dołączył do nas. Straszne toby było rozstanie. O wiele łatwiej wnosi się wielkie trudy w gromadzie. Następuje pewien podział smartwień i odpowiedzialności. Czuliśmy się strasznie osamotnieni. Przed nami wielka niewiadoma dotycząca tylko nas. Odjeżdżając czujemy cały ciężar odpowiedzialności za swój los. Czekają nas setki kilometrów drogi, a żywności mamy niewiele... Woźkami dojechaliśmy do jakiejś małej stacji. W dużej odległości od torów, jedynych, jakie tu przebiegały, widać było osiedle. Rzeczy ułożyliśmy pod ścianą budki kolejarskiej i nasz woźnicę odjechaliśmy. Zostaliśmy sami. Mama natychmiast zaczęła działać. Znalazła koleja-~~

Nadszedł wreszcie upragniony dzień amnestii, był to koniec lipca lub początek sierpnia. Można było realizować swoje plany. Mama nie zmieniła postanowienia. Poprosiła o furmankę z woźkami, woźnicą i tylko nasza rodzina wsiadła na ten wóz. Pozostałe dwa wozy wypełniły rodziny jadące do rosyjskiego sowchozu i kolchozu. Podziwiano naszą odwagę, proszono, by zrezygnować, nikt jednak nie dołączył do nas. Straszne toby było rozstanie. O wiele łatwiej wnosi się wielkie trudy w gromadzie. Następuje pewien podział smartwień i odpowiedzialności. Czuliśmy się strasznie osamotnieni. Przed nami wielka niewiadoma dotycząca tylko nas. Odjeżdżając czujemy cały ciężar odpowiedzialności za swój los. Czekają nas setki kilometrów drogi, a żywności mamy niewiele... Woźkami dojechaliśmy do jakiejś małej stacji. W dużej odległości od torów, jedynych, jakie tu przebiegały, widać było osiedle. Rzeczy ułożyliśmy pod ścianą budki kolejarskiej i nasz woźnicę odjechaliśmy. Zostaliśmy sami. Mama natychmiast zaczęła działać. Znalazła koleja-

rze i dowiedziała się od niego, że owszem, pociągi przejeżdżają wtedy, ale ich rozkład nie jest regularny, ani jemu znany. Są to transporty towarowe. Trzeba czekać. Jak będzie możliwość wyjazdu, to nam powie. Czekaliśmy pełne dwa tygodnie! Pod gołym niebem, śpiąc na sieni. Noce były już bardzo zimne - koniec lipca lub początek sierpnia. Znowu nie rozbieraliśmy się do snu, wprost przeciwnie, nakładaliśmy na siebie wszystko, co mieliśmy. Od chłodu znowu nas ratowała nasza ciepła pierzyna. Budka kolejarza miała spadzisty dach. Nad jedną ze ścian przechodził on w okap, chroniąc miejsce przekraczające zapewne na opał, ale teraz chronił nas. Pewnej nocy spadł ulewny deszcz. Dzięki temu sadzawieniu nasza podłoga prawie nie zmokła, tylko w nogach mieliśmy kałużę.

Noce chłody, brak ciepłych posiłków, kończąca się żywność - wszystko to odbijało się lekko w mamy oczach. W jej spojrzeniu potrafiłam wyśledzić wiele, nic się nie udało w nim ukryć, odbijały się wszystkie nastroje i przeżycia.

Na początku drugiego tygodnia, mimo wielkiego ryzyka, postanowiła pójść do osiedla po żywność. Nie było już ruszki na wymianę, ale miała zarobionych trochę rubli, które trzymała na bilety kolejowe. Liczyła, że tam może coś kupić do jedzenia. Musiała się spieszyć, by nie stracić okazji wyjazdu. Wróciła szybko, przynosząc trochę naszego bratu, chleb, a nawet jakiegoś bukki. Wszystkie produkty dostała za darmo! Są dobrzy ludzie na świecie! Odpowiednio dzieląc, mieliśmy chleba na następny tydzień. Wodę na herbatę z rumianku gotowała mama u kolejarza. W okresie naszego oczekiwania przejechało kilka transportów węglowych, ale nawet nie zatrzymywały się. I tak nie pojechalibyśmy odkrytymi wagonami. Śpiąc słyszeliśmy niejednokrotnie stukot kół o szyny. Zrywaliśmy się nierzadko równe nogi, żeby zobaczyć. A tu nic, zupełna cisza. To tylko dalała nasza wyobraźnia. Pewnego dnia przyszedł kolejarz mówiąc, że za godzinę będzie przejeżdżał pociąg towarowy z zamkniętymi wagonami, on zatrzyma go i pojedziemy. Narazicie jesteście w pociągu! Jedziemy do Atbasaru!

20. STEP

Oczarował mnie swym pięknem. Można go było podziwiać o każdej porze roku. Jakie bogactwo roślin, choć nie ma w ogóle drzew, jakie bogactwo zwierząt, choć warunki ich życia są bardzo trudne, jakie wspaniałe urodzajne sienie, jak w tej ogromnej przestrzeni wszystko ze sobą współgra. Latem zwierzęta futerkowe przybierają barwy złota, miedzi, czerwieni, szarości i bieli. Zimą natomiast idealnej bieli /wilki, lisy, sajace/ zlewającej się ze stepową szatą. Najczęściej spotykanym grysoniem był chomik, ~~Zwierzęta te, które odznaczają się~~

Zwierzątka bardzo ciekawskie, niesbyt płochliwe, pozwalało podejść bardzo blisko siebie, a następnie znikać błyskawicznie, w najbliższej norce, by kilka metrów dalej wyskoczyć z innej. Było ich zapewne bardzo dużo, bo i norek widocznych na powierzchni ziemi było niezliczona ilość. Chomiki nieco inne od hodowanych u nas, miały wysokie tylne łapki, przypominały swym wyglądem kangury w miniaturze. Ich śmieczne pyszczki zawsze wypchane były nasionami traw i innym pokarmem, mogłam godzinami siedzieć na kamieniu i przyglądać się ich harcom. Hx

Na stepie spotykało się dużo węży, nie wiedzieliśmy, czy te gady były groźne, czy też nie, ale woleliśmy unikać spotkania z nimi. Były nieduże, 0,6 - 1 m dł. i 3 - 4 cm średnicy. Pewnego razu zjawił się nawet na naszym kamiennym ogrodzeniu, po stronie budynku i wywołał wielkie zamieszanie. Panie zabierały swoje dzieci i uciekając do domu krzyczały: śmija, śmija! Zajął się nim chłopcy, wyganiając patykami. Stałam i przyglądałam się bezskutecznej walce. Takich węży widziałam w stepie dziesięć lat, kiedy biegałam po mleko do jurty kazachskich. Wąż wcale nie chciał uciekać, wyciągał w kierunku chłopców pyszczek, sycząc i wysuwając co chwila rozduwany języczek. Rozżołoszczeni zaczęli okładać go patykami. Wówczas nie wytrzymałam, nie mogłam na to patrzeć i uciekłam do domu.

Step w tej okolicy i w poprzednich miejscach, gdzie przebywaliśmy, nie był terenem zupełnie płaskim, przecinały go wzniesienia utworzone z mocno zwietrzałych skał, rozpadających się przy dotyku. Podnoża wzniesień pokryte są typowo skalną roślinnością, górna część skał o barwie ceglastobrązowej była zupełnie naga.

Wczesną wiosną trawy w kolorze soczystej, bujnej zieleni, miejscami, bliżej rzeki, gdzie wilgotność była bardzo duża, sięgały czubka głowy. Zieleni - przepłataną barwnym kwieciami usychała latem całkowicie, odkrywając duże połacie ziemi w kolorze od czerwieni po różne odcienie szarego.

Powietrze czyste, a pachnące swą świeżością, widoczność niczym nie ograniczona. Gdsieniegdsie pola zbóż, szybko dojrzewających w słonecznej episkocie, ogromne przestrzenie szaciego słonecznika oraz zielonych arbusów i bardzo delikatnych w uprawie i w smaku, żółtych długich melonów - to bogactwo tej ziemi. Bogactwo, którym można by obdzielić ludzi całego ogromnego kraju, ale tak się nie dzieje. Pszenica - kubanka, której ziarno jest trzykrotnie większe od ziarna zwykłej pszenicy, wysypana na dużą pyznię, ma wygląd prawdziwego złota. Jest to właśnie złoto tej ziemi. Nie można było wytłumaczyć sobie, dlaczego tu ludzie żyją w tak ciężkich warunkach materialnych, dlaczego wprost umierają z głodu?

W czasie żniw echo niesło daleko w step kołchozowe pędni - czastuszki

→ żartobliwe przyspiewki. Pieśni rozbrykowały właściwie przy każdej okazji. Ras były smutne w swej treści i melodii, innym zaś razem skoczne i wesołe.

Stado boczających owiec, przepędzanych z jednego pastwiska na inne, było nieodłącznym obrazkiem stepowych przestrzeni.

Jesienią zaś ludzie i zwierzęta szykowali się do przetrwania długiej i mroźnej zimy. Biała szata pokrywała wkrótce grubą warstwą cały step. Jak okiem sięgnąć rozciągały się góry śnieżne, mieniące się w słońcu różnymi barwami tęczy. Stepowa biel śniegu i jego czystość jest tak idealna, że nie można tego z niczym porównać. Opady śniegu są bardzo obfite i w czasie roztopów nawadniają cały step na długi okres suszy. Silny zimowy wiatr, nazywany burianem, tworzy na wolnej przestrzeni tak wymyślne rzeźby w śniegu, że ręka ludzka nie może potrafiłaby tego uczynić. Chaty lepianki, wtopione w biel zimową, zdradzają swą obecność tylko strząką dymu wydobywającego się wprost ze śniegu. Domy są schowane wraz z kominami głęboko w śniegu. Przebija się otwory do kominów, tunele do drzwi i okien. Przez długie miesiące zimowe tylko wąziutkie ścieżki między domami i dym, wskazują na to, że istnieje tu jakieś życie.

Wiosenne roztopy to następny żywioł, przed którym osłowiek staje małutki i zupełnie bezradny. Nicemu nie można zapobiec, ani przeciwstawić się. Czeka on cierpliwie, aż rozszalała przyroda uspokoi się, ucichnie i wówczas dopiero rozpoczyna swą codzienną żmudną i trudną pracę.

Nieraz miałam ochotę, pragnienie, by przyjechać na te tereny, spojrzeć okiem dorosłej osoby, skonfrontować swoje wspomnienia z obecną rzeczywistością. Zobaczyć tę cudowną przyrodę bez obciążenia psychicznych, jakich wówczas doznawałam.

21. ZIMA W KOŁCHOZIE

Znaleśliśmy się w punkcie początkowym, tzn. na przystanku, z którego rozwinięto nas w kwietniu 1940 r., na wszystkie strony Kazachstanu. Różnica jest jednak zasadnicza, bo teraz, w roku 1941, możemy sami wybierać miejsce swojego pobytu, w granicach Kazachstanu, na i każdy na własną rękę. Musimy radzić sobie sami.

Wyładowaliśmy szybko swoje rzeczy, bo pociąg jechał dalej. Los zdecydował na nas. Nieopodal nas stała furmanka zaprzęgnięta w dwa woły. Po krótkiej rozmowie z woźnicą, mama zorientowała się, że jest to zaprzęg z pobliskiego kołchozu leżącego około 20 - 25 km od Atbasaru. Woźnica zachęcał do zamieszkania w tym kołchozie, przedstawiając dość znaczne warunki bytowania. Propozycja została przyjęta od razu. Przemawiała za tym nadchodząca pora zimowa i brak środków do życia. Załadujemy swoje rzeczy

na furmankę, zadowoleni, że będziemy w pobliżu miasteczka. Jedziemy do kołchozu, który nosił nazwę /nie jestem pewna/ Iszyaka. Atbasar widzimy tylko z daleka. Był on odległy o 2 km od kolejowego przystanku, miejsca dla nas historycznego - początku naszej tułaczki po Kazachstanie, niejednokrotnie tragicznej i jej zakończeniu - stąd wyjeżdżaliśmy w drogę powrotną do Polski 1 maja 1946 r.

W drodze do Issymki nawiązała się rozmowa z kołchoźnikiem, współczuł nam i postanowił, że zamieszkaemy w jego chatcie. Po przyjeździe, jego żona nie była tym zachwycona i przebywaliśmy u nich około dwóch tygodni.

Osiedle było małe, wresztą jak wszystkie inne na tych terenach. Liczyło może 15 - 20 domostw. Kołchos leżał nad rzeką Iszym, nad tą samą, nad którą leżał Atbasar i przyjął od tej rzeki swoją nową nazwę. Zabudowania naszym nie różniły się od dotychczas spotykanych. Niektóre z nich, należały do bogatszych kołchoźników, budowane były wraz z chlewem, w którym trzymano krowę, świniaka, kury, owce. Można było trzymać bydło po jednej stronie, a trzodę chlewną tak samo, żeby nie było zbyt dużego obciążenia w karmieniu kołchozowym sianem i ^{inną} paszą.

Mama, widząc niechęć gospodyni, która karmiła nas swoim jadłem, a był to dla niej duży uszczerbek, postanowiła szukać innego mieszkania. Chodząc po chatkach, spotykała się z odmową, wreszcie trafiła do samotnej kobiety. Mieszkała ona w jednej izbie, utrzymanej bardzo czysto. Chętnie nas przyjął, bo mama zaproponowała jej zapłatę w rublach, za miesiąc z góry. Zastrzegła jednak, że tylko na jeden miesiąc, na czas jej nieobecności. Otrzymała urlop i chce go spędzić u córki w innym kołchozie. Mamy strzec jej dobytku i spokojnie mieszkać. Po powrocie mieszkanie chce odzyskać wyłącznie dla siebie. Sytuacja dla nas była korzystna, chociaż na pewien czas. Mama szukała cały miesiąc na dalsze poszukiwanie.

Była to pora jesienna, kołchoźnicy otrzymywali swoje deputaty - przydziały produktów żywnościowych za określony czas pracy. Deputat taki obejmował: pszenicę, żyto, jęczmień, ziarno proso, słonecznika, arbuzy, melony, niewielkie ilości ziemniaków i kto nie miał krowy, otrzymywał też mleko, które wydawano codziennie w określonych ilościach. Oczywiście takie przydziały należały się tylko osobom pracującym. My nie mogliśmy spodziewać się żadnej pomocy. Odmówiono nam nawet przydziału mleka dla dziecka, gdy zwróciła się z taką prośbą.

Kiedy zamieszkaaliśmy na nowym miejscu, pokój gospodyni wydawał się nam rajem. Czysto, ciepło, przytulnie, żeby tak można było w nim pozostać na zimo. W izbie stało jedno żółte, przy małym okienku - stół, taboret, naprzeciw okna, w kącie - piec ruski, a przy nim długa ława. Brudniły nasze podniebienia arbuzy, wypełniające całą wolną przestrzeń pod żółciem. Og-

ronne, dorodne o ciemno - soczystej zieleni, niektóre w nieco jaśniejsze paski. To było okropne, przez cały miesiąc codziennie patrzeć na niek i nie móc sięgnąć, by nasycić się ich wspaniałym, soczystym, słodkim mięszem. Bywały dni, gdy pokusa stawała się silniejsza od naszej wzdziwości. I tak w ciągu miesiąca sjeśliśmy około 10 arbusów. Ubytek był znaczny. Po powrocie gospodyni, mama zaproponowała jej dodatkową zapłatę, na co ta nie wyraziła zgody. A co innego miała zrobić? Rozstaliśmy się w pokoju. Dała nam jeszcze ze sobą trochę pszenicy, proso i pestek słonecznika. Przenieśliśmy się do następnej chaty, tym razem już na całą zimą. Była to lepianka połączona z przybudówką o nieco większej powierzchni niż nasz domek i służącą jako chlew i szopa na opał. Przybudówka ta skutecznie chroniła domek od siewi śniegów. Mieszkanie składało się z dwóch izb - kuchni i pokoju z drewnianą podłogą. Do pierwszej izby wchodziło się przez chlew, a jej powierzchnia wynosiła nie więcej jak 6 m kwadratowych. Od wejścia na prawo, przy samych drzwiach stał ruski piec, w którym gotowało się posiłki i piekło chleb. Przy piecu była wąska pryzma do spania, nożną tą było opad na piecu, na którym spędziliśmy większość zimowych dni. Po lewej stronie od wejścia stała ława na dwa wiadra z wodą, pod małym okienkiem znajdującym się pod samym sufitem stał stolik i ława do siedzenia, środkiem izby pozostawało wąskie przejście do następnego pomieszczenia. Było ono większe / około 18 m kw. 5, ale tak samo niskie jak pierwsze. Stało w nim duże żółte, bardzo szerokie, z drewna, stół, kufer zdobiony, kilka krzesel, ława pod oknem, po lewej stronie od wejścia, drugie okno, naprzeciw drzwi, było zupełnie zabite deskami i zakłonięte starym dywanem. W lewym kącie, naprzeciw wejścia wisiała duża ikona, na której zawieszona była ładnie zdobiona, lniana, długa zasłonka, przypominająca długi rącznik. Obraz przybrany był suchym kwieciami. Po raz pierwszy od naszego przyjazdu w tej chatce zobaczyliśmy drewnianą podłogę, była czysto wyszerowana i zabezpieczona chodnikiem tkanym własnoręcznie. Za to mieszkanie miała mama oddać ostatnią kózka, jeszcze prawie nową. Tu mieliśmy spędzić całą zimą. W czasie, kiedy nie trzeba było jeszcze ogrzewać pomieszczeń, spaliliśmy w pokoju, a gospodyni, z córką około 17 lat i synem - 20 lat, spali w pierwszej izbie na pryzmie i piecu. Zimą, większy pokój nie był ogrzewany i wszyscy przebywaliśmy razem w gromadzie. Było ciasno, duszno, a i insektów nie brakowało. Pchły i wrony panowały się baszarnie, aż do wiosny, kiedy można było wykopać się w rzece, a bieliznę wygotować. Gospodyni miała być w wieku mamy, może trochę starsza, średniego wzrostu, przeciętnej urody, spokojna, małomówna i bardzo pracowita. Pracowała w kołchozie, doglądając owiec. Po powrocie z pracy zajmowała się domem, wciąż miała jakichś zajęcia. Codziennie, regularnie przynosiła z pracy ogromną wiązki opału - resztki nie sjeślonych budy-

li z siens, które podawano dla owiec. Opaż nagromadzony w czasie lata nie wystarczał na długi okres zimowy. Pomagaliśmy przynosić zdobyty przez gospodynię opaż. Dzięki jej dobroci, współczuciu, ofiarności, wprost matczynej opiece, przetrwaliliśmy następną, już drugą od daty przyjazdu, zimę. W kołchozie pracowali również jej córka i syn. Dziewczyna była brzydka, z głębokimi śladami na twarzy po ospie. Usposobienie jednak miała tak wspaniałe, jak jej matka. Polubiłyśmy się bardzo. Dzieliła się z nami swoim jedzeniem, ciepłą klatkizną odzietą, której nie mieliśmy wcale. To, co przywieźliśmy ze sobą, nadawało się jedynie na porę letnio-jesienną, a poza tym ze swojej odziety już wyrosłyśmy z siostrą. Gdy wychodziłam po opaż, dawała mi swoje walonki, kufeczkę /wątowana kurtka robocza/ i ciepłą chustkę na głowę. Wieczorami lubiła opowiadać nam różne straszne historyjki o duchach napędzając mi tyle strachu, że w nocy nie wiedziałam, schować ^{gdzie się} przed nimi schować. Żyliśmy z nią w wielkiej zgodzie. Brat Maruśki, bardzo podobny do matki, lubił po pracy grać grać na mandolinie i śpiewać czas tueski. Wiele z nich nauczył mnie śpiewać. Był jeszcze kawalerem i często przebywał poza domem, wśród miejscowej młodzieży.

Jesienny okres szybko minął. Nadeszła zroga zima, a my jesteśmy całkowicie zdani na łaskę kobiety, która ciężko pracuje i za swoją pracę otrzymuje wynagrodzenie /w naturze/ wystarczające jej jedynie na bardzo skromne życie dla niej samej. A tu "na głowę" swaliła się czterosebowa rodzina. Czy miałby ktoś tyle serca i cierpliwości jak ona? Mama starała się o pracę, ale jej nie otrzymała. Zimą nawet nie wszyscy z kołchozu mieli zajęcie. Zapasy gospodyni szybko wyczerpywały się, trzeba było szukać jakiegóż wyjścia z tej trudnej sytuacji. Udało się mamie zdobyć prawdziwe karty do gry i one stały się naszym źródłem utrzymania. Chodziła ~~z~~ po chatach i wrótyła z kart. Traf chciał, że w wielu przypadkach to, co przepowiedziała, sprawdziło się. Wówczas kobiety zaczęły same przychodzić do mamy z prośbą o powrót. Wiadomość o mamy zajęciu dotarła do miejscowych władz, wezwano ją i ostrzeżono, że jeśli nie zaprzestanie, będzie oskarżona i ukarana. Skończył się więc dopływ żywności z tego procederu.

O wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej dowiedzieliśmy się dopiero w tym kołchozie. Wielu mężczyzn i młodych chłopów zostało powołanych do wojska. Całą głosem tej wojny poznałam z rozmów kobiet, matek, żon waloczących na frontach. Ci, którzy mieli szczęście wrócić, byli kalekami, bez nogi lub ręki. Kobiety, których najbliżsi byli setki kilometrów od domu, przychodziły do naszej mamy, ~~skroskane~~ skroskane o ich los. Prosiły ze łzami w oczach, by im powrótyła, zaklinając, że nikt się o tym nie dowie. Ulegała prośbom, bo kusiły ją przynoszone produkty. Nie mogła bezczynnie patrzeć na głodujące dzieci. Wreszcie urwało się całkowicie z wiosną, kiedy i do

chat kołchoźników zaczął zagładać głód. Przednówek był bardzo ciężkim okresem do przetrwania.

Mimo trudnych warunków nie chorowaliśmy, a braciełek nasz rozwijał się zupełnie prawidłowo. W czasie cieplejszych słonecznych dni starałam się wynosić go na powietrze. Nie miał ciepłej odzieży ani obuwia, musiałam nosić go owiniętego w chusty, czasami też wozikiem po na szkieletkach sankach zbitych z kilku desek.

Góry śniegu sięgającego dachów dawały dzieciom wiele uciechy. Zdarzyło się i tak, że śnieg zasypał naszą chatę całkowicie. Kiedyś obudziłam się, w chacie było zupełnie ciemno, a gospodyni już ubrana oznajmiła, że nie może wyjść z domu. Czekaliśmy do południa, aż nas ktoś odkopie, ale na próżno. Wówczas syn gospodyni wydostał się przez dach chlewni, robiąc w nim dziurę i przekopał tunel do drzwi wejściowych oraz okien.

Inne wydarzenie związane z burianem i opadami śniegu było dla mnie bardzo dramatyczne. Mama już kilkakrotnie, jesienią, chodziła pieszo do Atbasaru i zawsze przynosiła różne wiadomości, które nam przekazywała. Tym razem wybrała się z moją siostrą. Ranek był słoneczny, nie nie zapowiadało zmiany sury. Gospodyni uprzedzała jednak, mówiąc, że lekka przysiemna nadyuka nie wróty nie dobrego. Należało tej przestrogi uważnie wysłuchać i nie lekceważyć. Mama postanowiła jednak wyruszyć w drogę. Pragnęła kontaktu ze swoimi, z Polakami. Czuliśmy się bardzo osamotnieni, odosobnieni wśród tubylców. Tym bardziej, że po amnestii oczekiwaliśmy jakichś dalszych korzystnych posunięć ze strony władz sowieckich. Obiecała mamę ta sytuacja. Troje dzieci trzeba nakarmić, zapewnić im byt, a tu odmówiono nawet zatrudnienia, które pozwalałoby zarobić chociaż na chleb. Żadnej pomocy. Nie sposób było tkwić w tej beznadziejności, trzeba działać. Planowała w Atbasarze poszukać mieszkania i pracy, a wraz z wiosną przenieść się wreszcie do środowiska Polaków.

Przeestroga gospodyni okazała się słuszną. W kilka godzin po ich wyjściu rozszalała się burza śnieżna. Wichor wiał z taką siłą, że nie można było utrzymać się na nogach. Widoczność zmalała do zera. Słyszałam wesołniejzopę jak mówili mieszkańcy, że jeśli taka burza zastanie kogoś na pustej przestrzeni stepu, czeka go niechybna śmierć. W pełni zaczęłam sobie zdawać sprawę z tragicznej sytuacji, w jakiej znalazła się mama z moją siostrą, gdy zobaczyłam płaczącą gospodynię. Chodziła po domu, wykonywała różne czynności jak zwykle, ale czuło się jej niepokój, wdychała i powtarzała

~~XXXXXX~~ częste słowa: "Boh tymajk moj, Boh! Co szink nini budiet?"

~~XXXXXX~~

Nie wytrzymałam, wyszłam z domu niepostrzeżenie i pobiegłam w kierunku Atbasaru. Gdy dobiegłam daleko od kołchozu, żeby mnie nikt z mieszkańców nie słyszał, zaczęłam głośno płakać i wołać w tę białą, mroczną przestrzeń: mamo, moja mamo! Przeraziłam się swojego głosu. Przyszło opanowanie, jeszcze chwilę postąłam, starałam się przeniknąć tę białą zasłonę - nie było widać. Zrozumiałam, że nie mogę iść dalej. W domu pozostał brat, którym powinienem się zająć pod nieobecność mamy. Uspokoiłam się zupełnie i wróciłam do domu, chociaż powrót nie był łatwy. Kołchozu nie było widać wcale, szłam rzeką na wycucie. Po kilku dniach mama z siostrą wróciły szczęśliwie. Przez wszystkie te dni byłam w niepewności i strachu. Gospodyni witając szczęśliwie uratowane, aż płakała, ale z radości. Opowiadały, że cudem udało im się przebrnąć tę drogę. Gdy przeszły około 7 km / 1/3 drogi /, nagle śnieżnie się sypnął drobny śnieg, a z nim rozzalała się silna wichura - burian. Z każdym kilometrem wiatr się wzmagał. Początkowo widziały jeszcze utwardzoną drogę, a na niej co pewien czas odchody byłące. Później śnieg zasypał drogę zupełnie. Płaszcze oklejone lepkiem topniejącym śniegiem z czasem zaczęły na mrozie zupełnie sztywnieć, utrudniając poruszanie się. Siostra zszczęzona do granic wytrzymałości prosiła o chwilę odpoczynku. Gdyby mama uległa, byłby to ostatni odpoczynek w ich życiu i sadowała sobie z tego sprawę. Właśnie tak kończyli swoje życie ludzie, których zastał burian w stepie, a którzy nie mogli oprzeć się pokusie chwilowego odpoczynku. Siadali w kucki, szybko morze rzył ich sen i zasypiali na sawasze - zamarsali. Tak ich zwykle znajdowano. Jedynym ratunkiem - iść, wciąż iść przed siebie, być w ruchu. I tak się stało w mamy przypadku - szły wciąż do przodu. Dojechały do chaty stojącej samotnie około 3 km od Atbasaru. Ludzie /Rosjanie/, którzy je zobaczyli, aż przeżegnali się ze zdumienia, mówiąc, że miały wielkie szczęście uchodząc z życiem. Trochę im się nimi zajęli - nakarmili, ogrzali, wykąsali ubranie. Następnego dnia wypogodziło się, wiatr ustał, wyruszyły więc w dalszą drogę. Na drodze potworzyły się wysokie zaspy. Idąc wpadały w nie, nieraz po pas. Atbasar był tuż tuż, za rzeką, ruszyły na przelaz i tak znalazły się w mieście. Zatrzymały się u znajomej, jeszcze z Pruhany - Polki, pani Kowalik, którą przywieziono z córką Kazimierą i synem. Po kilku dniach odpoczynku wróciły do kołchozu. W czasie burzy mama ze zdenerwowania dostała ataku kamicy śluzowej, o czym nie mówiła mojej siostrze, by jej nie martwić. Ale się czuła i ten odpoczynek w Atbasarze był konieczny.

Okres zimowy, choć bardzo dla nas trudny, szybko minął, nadeszły ciepłe dni, a z nimi wiosenne rostopy. Wraz ze spłynięciem wód kończył się okres naszego pobytu w kołchozie. Czuliśmy się tu obecni, nikomu nie

potrzebnią nawet do pracy nie chcieli brać. Pewnego dnia mama skorzystała z okazji, załadowała nasze rzeczy na wóz jadący do Atbasaru i znów wyruszyliśmy w drogę. Znaleźliśmy się w tym samym miejscu, do którego nas przywieziono pod koniec kwietnia 1940 r. Minęły więc dwa lata naszego pobytu w Kazachstanie.

22. STUDNIA ARTEZYJSKA

Stęz jest równie groźny zimą jak i latem. Trzeba znać prawa niniejsze, być ostrożnym, przewidującym, jeżeli chce się uniknąć śmierci.

Jesienią, po krótkim pobycie w Kołchozie, mama wybrała się okazijną furmanką do Atbasaru. Pobyt przedłużył się do kilku dni, a tym samym musiała odbyć drogę powrotną pieszo. Dzień był niesamowicie upalny. Dwudziestopięciokilometrową drogę nieraz pokonała już w ten sposób, ale w tym dniu wydawała się ona nie do przebycia. Wzięła ze sobą mały czajnik wody, która w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej gorąca i ubywało jej w zasłabającym tempie. Piła już tylko po jednym łyku, ale i tak w pewnym momencie z przerażeniem zobaczyła pusty czajnik. Była w połowie drogi do celu. W koło pusta, ogromna przestrzeń stepowa pulsująca rozgrzanym powietrzem. Zmęczenia stawało się coraz większe, oddech coraz krótszy, nogi coraz cięższe, wymuszony, spieczony usta nie mogły nawet szeptać słów modlitwy. Wyczerpana do ostatnich granic usiadła tuż przy źródle, rozglądając się bezradnie dookoła. Kilkadziesiąt metrów od drogi zauważyła gromadkę kamieni ułożonych ręką ludzką. Reszkami się podniosła się, by sprawdzić, co to jest. Okazało się, że była to studnia artezyjska. Źródło wody było bardzo głęboko. Stała tuż nad wodą, nie mogła jej sięgnąć. Wróciła więc na drogę. Wtem od strony Atbasaru pojawił się na drodze kura i zbliżał się coraz bardziej. Dwa wozy szły wolno ciągnąc małą furmankę, na której siedział, drżąc i lekko kiwając się na boki, Kazach. Przykryty był owczym kołuchem. Był to podobno dobry sposób na uchronienie organizmu przed słońcem. Zauważył mamę, zatrzymał wozy, zszedł z wozu i szybko sorientował się w sytuacji. Nie miał ze sobą wody, nie mógł więc pomóc namie natychmiast, a w takim stanie nie dojechałaby sama do Kołchozu. Wziął czajnik, powiązał różne części garderoby i nie bacząc na niebezpieczeństwo, wczedł po wystających kamieniach dość głęboko do studni i zaczerpnął czajnik wody. Podał najpierw mamie, a potem pił sam. I tak na zmianę wypili cały czajnik. Woda była wspaniała, bardzo zimna, kryształowo czysta i smaczna. Chciał jeszcze raz, ale mama nie zgodziła się, bo było to naprawdę niebezpieczne. Odsyskawszy siły, wsiadła na furmankę i pojechała do Iszymki. Po powrocie opowiedziała nam tę całą historię.

23. ATRASAR

Małe miasteczko, leżące nad samym Issymem w akmoleńskiejszej okolicy. Zamieszkiwali je przedstawiciele różnych narodowości: Rosjanie, Kazachowie, Ingusi, Czeceńcy, Kirgizi, Ormianie, Białcy, Żydzi, Polacy i in. Posażeni Kazachami byli to przeważnie sesłańcy z różnych okresów historii.

Budownictwo mieszane - z drewna lub glinianych pustaków. Domy małe, niskie, rzadko piętrowe. Budynki stare, nie remontowane, przedstawiały raczej smutny widok. Tylko powstała gdzieśgdzieś upiększenie ścian, okiennic oraz resztki ogrodzeń z masywnych, grubych desek, dość duże dziedzińce, mówiły o ich nieco lepszej przeszłości. Najokazalszą budowlą była cerkiew, bardzo stara, ale mury z czerwonej cegły zachowały się w całości; przeznaczona była na magazyn. W późniejszym czasie pracowałam w jej wnętrzu. Była tam smagazynowane ziarno słonecznika, które ładowaliśmy do worków a następnie na samochody, a te wywoziły ładunek do pociągu. Zachowały się w niej malowidła postaci świętych, ołtarz w dość dobrym stanie i ambona. Pamiętam, że urządzaliśmy nawet zespoły skaczące z ambony w ziarno słonecznika. Niebezpieczna wysokość stwarzała pewne ryzyko, a nam młodym to odpowiadało.

Były również dwa sklepy: jeden dla mieszkańców, w którym można było kupić naftę, nieraz nawet cukier lub landrynki, od czasu do czasu "ruszili" jakiś materiał odzieżowy; drugi sklep przeznaczony był dla władzy, ludzi uprzywilejowanych, miał znacznie szerszy asortyment. Nam ścieżka nie była dostępna, gdyż nie mieliśmy pieniędzy.

W centrum miasta znajdował się rynek. Kilka sadzonych budok z drewna stojących na dość dużym prostokątnym placu, zamkniętym z czterech stron zabudowaniami. Przy rynku jeden z największych budynków - dom partii komunistycznej i władz miejscowych. W pobliżu mały szpital umiejscowiony w suterenie - trzy małe sale. Dwie z nich przeznaczone dla chorych, jedna służyła jako sala zabiegowa, a w dalszym przedzielona mieszła się kuchnia. Wystarczyło porównać pomieszczenia szpitalika, który służył nie tylko miastu ale i wszystkim okolicznym kołchozom i sowchozom, z domem partii, aby stwierdzić jakie były kryteria oceny potrzeb mieszkańców. Szpital był szczególnie przepełniony w okresie zimowym, kiedy masowo przywożono ludzi z silnymi odrostkami. Często jedynym ratunkiem była amputacja kończyn, a z tym wiązała się długi pobyt w szpitalu. Pamiętam bardzo dokładnie te okropne warunki, gdyż przez dłuższy czas przysłało mi również korzystać z pomocy lekarskiej.

Miasto to miało również placówkę kulturalną, a mianowicie - kino. Drewniany niski budynek z jedną izbą na około 40 miejsc, w której ustawione były długie ławy, bez oparcia. Seanse filmowe odbywały się nieregularnie.

larnie, najczęściej raz w tygodniu. Była również szkoła podstawowa, wybudowana tuż przy świątyni, ściany drewnianych ubikacji szkolnych przylegały do murów cerkwi.

Całe miasto usytuowane było na zachodnim, wyższym brzegu rzeki Issym. W czasie roztopów wiosennych zazwyczaj spokojna, o wąskim korycie rzeka zamieniała się w groźne, rwące rozlewisko. W swoich mętnych wodach niesła wszystko, co stało jej nadru drodze. Miasto, zbudowane wysoko nad korytem rzeki, było zupełnie bezpieczne. Tylko tu można było przeżyć. Woda potrzebna do picia ludziom, wykazaniem zwierzętom, niezbędna do gotowania, prania, polowania ogrodów itd. - źródło życia. Prawie całe zapotrzebowanie na wodę zaspokajano z rzeki, a jeśli ktoś miał ochotę napić się latem bardzo zimnej, czystej i smacznej wody, mógł skorzystać ze studni głębinowej, jedynej w mieście. Woda w rzece też wydawała się być czysta, poza okresem roztopów oraz burzami deszczowymi - raz, dwa razy w ciągu lata, kiedy opływały potoki gliniastej, brudnej wody. Na co dzień w rzece odbywało się pranie, kąpiel dla higieny i przyjemności. Całymi dniami kąpały się gromady dzieciaków, rano i wieczorem myli się dorośli. Z tego samego miejsca czerpane także wodę pitną. Stąd też częste zachorowania, epidemie takich chorób, jak tyfus brzuszny i plamisty, czerwotka i dółtaszka. Choroby te żłodziły ludność. Brak szybkiej pomocy lekarskiej, leków, zachowania podstawowych zasad higieny, właściwego odżywiania, przyczyniały się do wysokiej śmiertelności.

Wracając do opisu miasta, należałoby wspomnieć o przedszkolu ze żłobkiem znajdującym się tuż nad rzeką. Obok stał budynek służby bezpieczeństwa i milicji.

Latem chodziło się po mieście utartymi drogami, które miały nawet jakieś neawy. Zimą natomiast przedstawiały istnieć ulice. Ogromne śnieżne wyznaczały inne połączenia między domami. Uliczki zamieniały się w wąskie ścieżki, a do drzwi i okien były wykopane w śniegu wysokie tunele.

23. ATBASAR DO RAZ DRUGI

Była wiosna 1942 r., początek kwietnia. Przyroda budziła się do życia. Mimo beznadziejnych warunków materialnych, powracające życie na stepie, jego niepowtarzalne piękno sprawiało nas radością i ukojeniem. Poza tym należeliśmy się w dość licznym środowisku Polaków. Chyba nie przesadzając, podając liczbę 30 - 40 rodzin. Nadzieja znów zagłębiła w naszych sercach. W tak liczonym gronie, wśród swoich nie możemy zginąć. Nie przewidzieliśmy, ile jeszcze będziemy musieli precierpieć, ile tragicznych momentów przeżyć. Ale na razie jesteśmy zadowoleni, jesteśmy wśród swoich.

Wściekłość dawała nam pewne poczucie bezpieczeństwa. Zamieszkaliliśmy chwilowo w baraku, w którym znajdowała się już około dziesięciu rodzin. To miejsce mama traktowała jako przejściowe. Zaczęła więc pilnie szukać najpierw pracy, a następnie samodzielnego mieszkania.

Z nadejściem wiosny wybuchały tu różne epidemie: czerwonki, tyfusu brzusznego i in. Dziesiątkowały mieszkańców z powodu trudnych pod każdym względem warunków życia. Tej wiosny wybuchała najpierw epidemia tyfusu brzusznego. Przyjechała ekipa służby zdrowia, która zajęła się szczepieniem mieszkańców. Słychać już było o wielu przypadkach śmiertelnych. Szczepienie to objęło również i nas /poza bratem, był zbyt mały/. Nasze osłabione organizmy zaraz po szczepieniu poddały się chorobie. Ja z siostrą już następnego dnia znalazłyśmy się w szpitalu zakaźnym zakaźnym. Bardzo wysoka temperatura, bóle brzucha w jelit, byłyśmy obie nieprzytomne. Świadomość odzyskałyśmy dopiero po kilku dniach, nie wiedząc nawet skąd tu się wzięłyśmy. Całe szczęście, że mama z bratem byli zdrowi. Pobyt w szpitalu był straszny, ludzie umierali masowo. Każdego dnia kogoś wynoszono z naszej sali, a na to miejsce przybywali inni. My przeżyłyśmy tylko dzięki szczepionce, której osłabione bakterie nie pokonały nas, natomiast wytworzyły odporność na następne lata. Wracałyśmy do zdrowia szybko, chociaż się jeść, podawane posiłki wydawały mi się zbyt słabe. Najczęściej podawano nam tłuczone ziemniaki i gotowaną na gęsto marchewkę oraz supę mleczną. Jak nam to smakowało! Takie jedzenie to rarytas w naszej rzeczywistości. Przez całą minioną zimę nie widziałyśmy ani kawałka ziemniaków, ani marchwi. Mimo smacznego jedzenia chciałyśmy jak najszybciej znaleźć się przy mamie.

W czasie naszej choroby opiekowała się nami szczególnie troskliwie pielęgniarzka - Polka. Była to kubańska kobieta w średnim wieku, wysoka, ładna, bardzo przystojna. Miała w swym postępowaniu, zachowaniu, postawie pewien urok, nawet jej obecność przynosiła ulgę w cierpieniu. Ciekawam z niecierpliwością na jej dyżury, zastępowała mi matkę w tych trudnych chwilach. Była troskliwa, oszczędna i cierpliwą. Żałuję bardzo, że nie pamiętam jej nazwiska ani imienia. Ona właśnie, mimo polecenia lekarza nie pozwoliła nam ścinać włosów. Miałymy z siostrą długie, grube warkoczki. Wszystkim chorym na tyfus ścinano włosy do skóry ze względu na insekty i życie spowodowane chorobą, bardzo wysoką temperaturą. Ponieważ nasz stan był łatwiejszy, uszła, że ścinanie włosów jest zbędne.

Ze szpitala wróciłyśmy już do innego mieszkania. Mama wynajęła izbę, choć przechodnią, mieszkałyśmy w niej same. I w tym domu nasz pobyt był krótki, około dwóch miesięcy. Gospodyni miała córkę w moim wieku. Dziewczyna rudowłosa, jedynaczka, dość kapryśna i suchwała. Nie mogłyśmy się zaprzyjaźnić, wciąż były jakieś nieporozumienia i kłótnie. Mama zmuszona

była szukać innego mieszkania.

Z tego okresu utkwiło mi w pamięci jedno przykre dla nas Polaków wydarzenie. W pobliżu mieszkania rodzina polska: sędziwy pan, jego żona i dwie młode, ładne córki. Kawaze były elegancko ubrane, zadbane i nigdzie nie pracowały. Famiłką, że bardzo szadrościłam im ojca. Zajmowali cały drewniany domek, dość dobrze utrzymany. Był to oddział delegatury polskiej którą kierował ten starszy pan. Zasięgano tu wszelkiego rodzaju informacji. Tu nadchodziły dary UNRA dla Polaków. Nie wiedzieliśmy nic na temat tych darów, co nadchodzi i kto je otrzymuje. Nie było żadnej komisji do ich rozdzielania. Nie mieliśmy już odcięty, część się zdarła, z pozostałej wyrosłyśmy. Mama swróciła się z pytaniem, czy możemy otrzymać jakąś pomoc. Otrzymała wówczas kilka małych przydatnych smaczków i trochę tłuszczu - cere-su. Ale pewnego dnia zobaczyłyśmy, jakie sposoby nawierzała drewniana chatka. Nie wiem jak władze miejscowe dowiedziały się o zapasach przechowywanych w piwnicach. Przeprowadzono rewizję, cała rodzina została aresztowana, a towary wyniesiono przed dom, aby wszyscy widzieli, ile tego nagromadzone. Cóża paczek z napisami roża, wynoszone różne produkty: masło, cere-s, smalec, mąkę, kaszę, kakao, czekoladę, mleko w proszku i bardzo dużo odcięty. Przykre nam było nie tyle z powodu nieuczciwości tego pana, ile ze wstydu przed miejscową ludnością i władzami. Wszystkie towary skonfiskowano i wywieziono ciężarówką nie wiadomo /nam/ gdzie. Byliśmy jednak zadowoleni, że następnego dnia wypuszczono matkę i dwie córki, a po kilku tygodniach wrócił też starszy pan. Jego nieuczciwość oburzała nas, ale takiej kary jak więzienie nikt mu nie życzył. Był przecież nasz - Polak.

Więcej już nie przychodziła żadna pomoc UNRA. Gospodyni, u której mieszkałyśmy, mówiła do mamy: "Zamiast żeby wasze dzieci sjadły, to sjadą dzień ci miejscowej władzy." I tak zapewne było.

Czas mijał szybko w wirze piętrzących się smartwien, niedostatku graniczącego z nudą, ciągłej gonitwy za zdobyciem pożywienia. Miałam już trzynastcie lat /a właściwie dopiero/ i przejęłam na siebie wszystkie obowiązki dorosłej osoby: pranie, gotowanie, sprzątanie, opiekę nad dzieckiem. Mama z siostrą znały, na szczęście, zatrudnienie w zakładach słożowych - Zahodsierno. Zakład pracy odległy był około 3 km od miejsca zamieszkania. Wychodziły z domu o wschodzie słońca, a wracały z jego zachodem. Należało zatem jak najszybciej pomyśleć o mieszkaniu bliżej zakładu pracy

24. PIERWSE SAMODZIELNE MIESZKANIE

Ile może sprawić radości samodzielny pokój! Nie można sobie tego wyobrazić, nie przeżywszy tego, co my przez okres tych dwóch lat. W drewnianym, starym domu /piętrowym/ były trzy mieszkania. Na górze - duży pokój, który zajmowała Rosjanka z sześciolatnim synkiem. Jej mąż był na froncie. W czasie naszego pobytu otrzymała wiadomość, że zginął jako bohater. Następne pomieszczenie to pokój z kuchnią, który zamieszkiwali Czeceńcy - rodzina składająca się z pięciu osób: matki, ojca, dwóch synów i córki. Dawniej te dwa mieszkania stanowiły jedną całość. Na dole, w półsuterenu mieszkaliśmy właśnie my. Był to znów pokój przejściowy, gdyż obok, w drugim pomieszczeniu mieszkali dwaj starsi Ormianie. Jeden z nich bardzo przystojny pan, z zawodu artysta - baletmistrz, niesamowicie ugrzeczniony. Zanim wyszedł ze swego pokoju, zawsze pukał do drzwi, wiedząc, że mieszkają tu kobiety. Był człowiekiem wykształconym, inteligentnym, miłym, słowem nie pasującym całkowicie do środowiska, w jakim przyszło mu żyć.

Drugi, starszy, spełniał przeciwieństwo pierwszego. Nieśmiały, spokojny, bez wykształcenia, nie uczestniczył prawie nigdy w długich dyskusjach, jakie odbywała mama z artystą w zimowe wieczory.

Peza Rosjanką wszyscy byliśmy goszczącymi.

Pokój nasz miał około 20 m kw. powierzchni, drewnianą podłogę, dwa małe okienka wysoko umieszczone nad drewnianą boazerią, chroniącą ściany od zimna i wilgoci. Ta boazeria przysporzyła nam w pierwszych tygodniach naszego pobytu wiele kłopotu. Przed nami mieszkanie to zajmowała niedołężna staruska, która zmarła. Z powodu choroby, starości, znosiła cierpliwie dekucelne sąsiedztwo pluszków. Na styku desek oszary były wypełnione jamy mączkowską jasnobrązową robactwem. Po przeprowadzeniu bardzo radykalnej dezynsekcji w pomieszczeniu naszym i Ormian, mieliśmy do końca pobytu idealny spokój. Dezynsekcja polegała na polewaniu wrzątkiem szpar między deskami. Kilkakrotne powtórzenie tego zabiegu dało oczekiwany rezultat, nawet pcheł nie było w naszym mieszkaniu. Nareszcie mieliśmy spokój i czystość.

Latem podłogę szorowaliśmy dwa razy dziennie. Po jej wymyciu czuło się przyjemny chłód i świeżość powietrza. W ciągu dnia drzwi nie zamykało się w ogóle, gdyż wieńczenie w inny sposób było niemożliwe. Okna wykonane z jednolitej ramy nie otwierały się, a przed słońcami nie było co ukrywać. I trzeba było przysnąć, że o słońcach tu się nie słyszało. Nie było swyczaju, by wychodząc z domu zamykać drzwi na klucz. Oczywiście, każdy brał ukradkiem, ale tylko to, co państwowe, wspólne. Brał, bo musiał przeżyć, ale tylko tyle, ile do życia było potrzebne.

Do półsuterenu było jedno wejście, a na piętro, drugie, do którego prowadziło kilka schodków. Do mieszkań na piętrze wchodziło się z długiego, wąskiego korytarza, wykonanego z samych desek. Natomiast część mieszkalna sbudowana była z grubych belek obitych na zewnątrz deskami nachodzącymi jedna na drugą. Dom był bardzo stary, nie konserwowany, deski mocno zmurszałe. Miał wygląd ruiny przeznaczonej na rozbiórkę. Przy domu długa dołdówka kryta słomą, służąca jako chlew i skład na opał. Rosjanka trzymała w niej krowę, a my kilka kur. Na dość dużym podwórku, zamkniętym z dwóch stron: od zachodu - chlewem, a od południa - domem, stały dwie drewniane ubikacje. Jedna należała do Rosjanki - Miury, druga do wszystkich zesłańców. Pozostała część podwórka ogrodzona była płotem z grubych desek, włączającym się ze starości. Wszystko to świadczyło o dawnej samożności właścicieli tej posesji. Ta chyląca się ku upadkowi majątność otrzymała w spadku po rodzicach jeszcze dość młoda, ładna Rosjanka, nauczycielka, mieszkająca i pracująca poza Atbasarem. Caynss pobierała od wszystkich bardzo niewielki. Mama płaciła 36 rubli miesięcznie, a zarabiała 200 - 300 rubli.

Pobliskie otoczenie wyglądało jeszcze gorzej. Domy drewniane lub lepianki, wszystkie bardzo stare, zniszczone, nie remontowane, robiły przykre wrażenie. Ulica dość długa, prowadziła na wschód prosto do rzeki, a na zachodzie łączyła się z drogą prowadzącą do stacji kolejowej i zakładów, w których pracowałyśmy przez następne cztery lata. Początkowo mieszkaliśmy sami i jak na tamte czasy były to warunki komfortowe. Z czasem lokatorów zaczęło przybywać. Jeśli ktoś znalazł się w trudnej sytuacji, nie miał dachu nad głową, znajdował pomoc u naszej mamy. Jesienią przyszła Polka z dziesięcioletnią dziewczynką i ze żsmi w oczach prosiła o przyjęcie jej do mieszkania na okres zimowy. Następnego roku zamieszkała druga pani z dorosłą córką. Następnie, po wyprowadzeniu się pierwszej, przyjęła mama Rosjankę - Wierę Suworową. Była ona samotną kobietą, synek jej zmarł jako małe dziecko w pierwszych miesiącach zesłania. Następnie mama przyjęła na wychowanie chłopca - sierotę, Jurka Żołobowskiego, którego matka mieszkała blisko nas w 1943 r. i zmarła na krwawą dyszenterię. Był to chłopak w młodym wieku, około 14 lat. Rok przed wyjazdem zamieszkał u nas pan Fedorowicz. Jak widać z powyższych przykładów, radość z samodzielnego mieszkania była bardzo krótka. Wkoło widziało się tyle nieszczęścia, że nie sposób było żyć tylko swymi sprawami. Los nasz - Polaków /i nie tylko Polaków/ słęczył nas na dobre i złe. Dzieliłiśmy wspólnie radość i smutek, tworzyliśmy wspólnotę ludzi wyjętych spod prawa.

25. PANI JADWIGA ŻOŁOBOWSKA

(Zetubowka)

Tragiczna postać, żona przedwojennego oficera polskiego przebywającego gdzieś w łagrach sowieckich, a może już wtedy nieżyjącego, jak tysiące innych /w tym czasie nie o masowych mordach na Polakach nie wiedzieliśmy/... Pani Jadwiga była osobą wyjątkowo niezaradną, naiwną jak dziecko i nie dawała sobie w ogóle rady z tym trudnym życiem. Wszystko, co przywiozła ze sobą, oddała na początku pobytu, za bezcen. Kiedy mama ją poznała, przyszła do nas wprost poprosić o kawałek chleba, żyła już wtedy w skrajnej nędzy... Miała dwóch chłopaków. Jeden saciągnął się do armii Andersa, drugi -- Jurek przebywał z matką. Przez dłuższy czas mama starała się pomagać, częstując ją talerzem sacierki i kawałkiem chleba, który ta zwykle zabierała mówiąc: a to dla Jureczka. Odchodząc wielokrotnie dziękowała i pamiętam jej lekki uśmiech na oczy pełne łez. Często powtarzała: "Pani Lipień, jak umrę, zaopiekuje się pani Jureczkiem". Jej przecucie wkrótce spełniło się. Zachorowała na krwawą dysenterię i umarła. Zanim jednak to nastąpiło, dużo jeszcze naciępiła się. Zachowała się u nas do tej pory metryka jej zgonu z numerem 160. Myślę, że prowadzona oddzielną ewidencją zgonów Polaków, byłaby to więc 160 Polka, którą pochowano. Dokładna data śmierci pani Żołobowskiej to 5 sierpnia 1943r. Pochowaliśmy ją na miejscowym cmentarzu w Atbasarze. Przed śmiercią mieszkała naprzeciwko nas po drugiej stronie ulicy. Kiedy zachorowała, gospodyni poleciła jej wynieść się do obórki, w której stała krowa, ze względu na niebezpieczeństwo zarażenia się. Nie pomogło mamy wstawiennictwo, obawy gospodyni były słuszne, pani Żołobowska jeszcze o własnych siłach przeszła do nowego lokum. Mama przygotowała jej posiłek ze słomy, przez kilka dni nosiła kleiki, herbatę siołową, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo zarażenia się. W początkach choroby zawiadomiła szpital, odmówiono przyjęcia chorej z powodu braku miejsc. Leczenie domowe nie było możliwe z powodu braku leków, poza tym nie było w zwyczaju, by lekarz odbywał wizyty domowe. Po kilku interwencjach i wykorzystaniu znajomości pielęgniarki Polki, która opiekowała się nami w czasie tyfusu, zabrano panią Żołobowską z obory do szpitala sakańskiego, gdzie po kilku dniach zmarła. Było już zbyt późno na jakąkolwiek pomoc. Jurka mama zabrała już znacznie wcześniej nie tylko z powodu danej obietnicy, ale i czyste ludzkich uczuć. Po śmierci jego matki wpisała w urzędzie do swojego dowodu dane chłopca, dokonując tym samym tzw. adopcji i uznając go za swe czwarte dziecko.

Wiadomość o śmierci matki przyjął ze spokojem, ale widziałam, że utratę jej bardzo przeżywa. Był smutny, często popłakiwał, czuł się skrepowa-

ny w nowym środowisku. Miał usposobienie matki, podobnie nieszaradny, apetyczny, bez inicjatywy i jak na swój wiek bardzo jeszcze dziecienny. Oczywiście, że taki stan można by tłumaczyć warunkami, w jakich się znalazł. Nasza jednak reakcja na otaczającą rzeczywistość była zupełnie inna. Wiedzieliśmy, że choć przeżyć, trzeba o to walczyć. Nie można było poddawać się rozpacz i beznadziejności. Tu każdy dzień musiał być dniem walki o byt i przetrwanie. Większość nas - dzieci pozbawiona była swoich praw, np. brak szkoły, zabezpieczenia materialnego, czasu na tak bardzo dzieciom potrzebne zabawy. Niemalże na równi z dorosłymi przeżywałyśmy te same troski życia codziennego. Jurek nie był przygotowany psychicznie do podjęcia takich obowiązków. Kiedy było jeszcze ciepło, siedział najczęściej na drewnianych schodkach, prowadzących w dół do naszego mieszkania. Zimą natomiast najchętniej przebywał na ruskim piecu, chociaż w nim się nie paliło, ale to miejsce uważał za najbardziej przytulne. Mama chciała, by czuł się lepiej, przyzwyczajając się bardziej do nas, wciągała go do spraw i obowiązków rodzinnych. Posyłała go woda lub opał. Polecenia wykonywał chętnie, ale sam z własnej woli nigdy tego nie czynił.

Jurek mieszkał z nami ponad rok. Kiedy otworzono polski sierociniec, mama postanowiła oddać go do tej placówki. Brała pod uwagę fakt, że w sierocińcu będzie miał bardziej regularne odżywianie, naukę w języku polskim oraz fachową opiekę lekarską w razie choroby. U nas bywały okresy bardzo trudne, kiedy do jedzenia nie było dosłownie nic. Jurek przyzwyczał się widocznie do nas, bo często odwiedzał i choć niewiele mówił, lubił dawnym zwyczajem posiedzieć sobie na schodkach. Częstośważyłyśmy go jedzeniem /jeśli oczywiście było/, a mama z niepokojem wypytywała, czy dobrze się tam czuje, czy jest zadowolony, czy może chociażby wrócić do nas. Twierdził jednak, że z pobytu w sierocińcu jest zadowolony. Przez cały czas utrzymywaliśmy stały kontakt z Jurkiem.

Krótko przed naszym wyjazdem do Polski chłopak przybiegł do nas zapłakany, nie mógł wymówić słowa. Po długim wypytywaniu wyjaśnił, że dyrekcja sierocińca złożyła u władz sowieckich listę dzieci do wyjazdu, a władze ją zweryfikowały, skreślając więcej niż połowę nazwisk /dzieci w sierocińcu było ze 40/, a wśród nich jest również jego nazwisko. Krając coś jeszcze mówił, ale nie można było go zrozumieć. Mama głaszcząc go po głowie powtarzała: pojedziesz Jureczku, pojedziesz na pewno. Wówczas rzucił się mamie na szyję, mocno ściskając i całując ją. Oddając Jurka do sierocińca, mama nie wykreśliła go z dowodu osobistego, nie zrezygnowała z adopcji. To przyczyniło się do uratowania go, to stało się podstawą do uzyskania zezwolenia na wyjazd. Jurek przejechał z nami granicę sowiecko-polską pod koniec maja 1946r., a następnie wrócił znów pod opiekę wy-

chowawców sierocińca, którzy jechali z innymi dziećmi w oddzielnym wagonie.

Do roku 1949 utrzymywałam z nim kontakt listowny. Obecnie nie wiem, gdzie przebywa i co się z nim dzieje. Jeśli żyje, bo wiem, że po powrocie zachorował na gruźlicę płuc, zresztą jak większość z nas, już nigdy nie odzyskała swojej sprawności fizycznej; to zapewne zgłosił się do Związku Sybiraków.

26. WIERA SUWOROWA

Los nas złączył z tą miłą osobą na ponad trzy lata. Suworowa była młodą, bardzo nieszczęśliwą małatką o miłej powierzchowności, średniego wzrostu, o jasnych, długich, gładko zaczesanych włosach upiętych w kok i szaroniebieskich oczach. Była studentką, wyaszka za mąż też za studenta - niemieckiej narodowości. Z chwilą rozpoczęcia wojny niemiecko-rosyjskiej mąż jej został aresztowany, a ją z dzieckiem - małym synkiem zesłano do Kazachstanu. Synek w krótkim czasie zachorował i zmarł; kiedy o nim mówiła, zawsze płakała. Gdy zamieszkała u nas, była szczęśliwa, że może być przy rodzinie, a tym samym nie czuć się tak bardzo samotnie. Wspaniała kobieta, na wskroś uczciwa, skromna, o bardzo pogodnym usposobieniu. Nigdy nie widziałam na jej twarzy zniecierpliwienia lub złości. Spadła na nią, bardzo młodą, jeszcze niedoświadczoną niewiastę, tyle nieszczęść, a ona zachowywała pogodę ducha, nie skarżyła się na swój los, na jej ustach stałe gościł lekki uśmiech. Tylko wtedy, gdy wspominała swego zmarłego synka, oczy jej napełniały się łzami.

Przyszła do nas z małym tobołkiem w ręku - był to jej dobytek i zapytała wprost, czy przyjmie ją mama do siebie. Odzież na sobie miała mocno podniszczoną, nie nadającą się zupełnie na okres zimowy. I kiedy nadeszły silne mrozy połączone z opadami, a nie rzadko, burianem, wówczas nasza biedna Suworowa wracała z pracy zmarznęta jak sopel lodu. Pracowała w tym samym zakładzie co my, w Zehodzierno, jako wagowa. Była to dość odpowiedzialna praca. Ważyła zboże, które przywożono z okolicznych, często odległych o 100 - 150 km kolchozów i sowchozów. Zboże przywożono ciężarówkami i wozami zaprzęganymi w wózki, w workach lub luzem, wysypane na płachty. Musiała ważyć uważnie, sprawdzać pojazdy, czy nie miały dodatkowych obciążeń - kamieni, których po rozładowaniu posypywano się. Mama nie mogła już patrzeć jak ona biedna marznie. Bywały dni, a nieraz pracowała również i w nocy, że cały swój wyznaczony dyżur spędzała przy wadze, na mrozie i wicherze. Pojazdy podjeżdżały jeden po drugim. Namówiła ją więc,

by "szatwiła" worek pszenicy, za który będzie mogła się ubrać. Była to kombinacja niebezpieczna, gdyż należało wtajemniczyć osobę transportującą zboże. Jednak chcąc żyć, trzeba było ryzykować. Pewnego wieczoru usłyszeliśmy ciche pukanie do okna. Mama otworzyła drzwi, a tu po schodach turła się worek z pszenicą i w progu stoi Suworowa, cała drżąca ze strachu i zimna. Ten samowolny przydział pszenicy szatwiła z Kazachem, którego znała wcześniej, wpisała mu odpowiednią wagę, odkładając dwa worki - jeden sobie, drugi jemu. Przystał chętnie na to i przywiózł Suworową i pszenicę do samego domu. W ten sposób uczciwa dotąd kobieta złamała swoje zasady. Kupiła sobie ciepły płaszcz, walonki i wełnianą chustę na głowę. Desperacja jej musiała sięgnąć szczytu, jeśli odważyła się na taki krok. Ile czyhało na nią niebezpieczeństw. Kazach mógł się nie zgodzić i zgłosić to do władz. Posa tym na terenie zakładu dniem i nocą był stróż, który ubrany w ciepły kożuch, miał obowiązek sprawdzania pojazdów, pracowników i pilnowania magazynów. Miał nawet służbowy karabin, z którym się nie rozstawał. Również niebezpieczne było przejeżdżanie przez tory, gdzie chodziły milicyjne patrole i zdarzało się, że sprawdzano przejeżdżające pojazdy. Mógł również zainteresować się wjeżdżającymi na nasze podwórko saniami sam dyrektor zakładów, który mieszkał blisko nas. Mimo wszystkich tych niebezpieczeństw Suworowa zachęcona pomyselnym zakończeniem, powtórzyła ten numer jeszcze raz. Miska już był zapewniony na dłuższy czas.

27. SZPIEDZY W KAZACHSTANIE

Mimo wielu obowiązków, jakie na mnie ciążyły, znalazłam zawsze trochę czasu, by wyjść na spacer, biorąc ze sobą brata. W ten sposób poznawałam nowe środowisko.

Było lato 1943 lub 44 roku, kiedy wybrałam się do miasta, prowadząc brata za rękę. Lubiłam bardzo te spacerki. Idąc małą uliczką, a właściwie drogą o piaszczysto-gliniastej nawierzchni, zobaczyłam dość liczną grupę ludzi stojących przy niskim ogrodzeniu, miejscami rozwalonym i odsłaniającym podwórko. Stali i patrzyli na małą chatkę z mocno zadymionym wejściem i otworem okiennym. Nad dachem unosiły się resztki dymu z tłącego się pokrycia i pary z wody wciąż jeszcze lanej wiadrami. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam obraz, który zapamiętałam na całe życie. W pewnej odległości od chaty, przy psiej budzie, na swalonym pniu drzewa siedziała staruszka, mała, przygarbiona. Obok niej - sterta bezładnie rzuconej i przemoczonej odzieży, pościeli, kilka sztuk starych mebli. Przy budzie leżał rudy

piesek, czekając od czasu do czasu na zbliżające się do staruszeki osoby. Za poszczekiwanie psa staruszka odbierała obelgi. Nie odpowiadała na żadno zaczepki, siedziała w zupełnym bezruchu. Podnosiła nieco głowę, kiedy pracownicy bezpieki sadawali jej pytania, ale nie odpowiadała, a wzrok jej błądził gdzieś daleko. Na nikogo nie zwracała uwagi, nie ją nie obchodziło. Chyba nikt tak nie zasługiwał na litość jak właśnie ona razem ze swoim wiernym pieskiem. Z rozmów, jakie nakrywałam, wynikało, że miesiąc temu staruszka pochowała syna, inżyniera w wieku 40 lat. Władze podejrzewały go już dawno o szlachalność szpiegowską na rzecz Japonii, rozkopano grób i w trumnie znaleziono zamiast zwłok kukłę. Gdy staruszka dowiedziała się o poszukiwaniu syna, podpaliła dom, chcąc w nim spłonąć. Samobójstwo się nie udało. Syn podobno uciekł za granicę. Na dole, w zamaskowanej piwnicy wykryto radiostację. Staruszkę aresztowano i uwięziono. Budynek, w którym ją trzymano, stał nad samą rzeką. Znalazła odpowiednią chwilę i utopiła się. Część z tej opowieści pochodziła od Ormianina - tancerza, który miał szerokie znajomości z Rosjanami i wiele wiadomości z pierwszej ręki przekazywał mamie. Nie wiem, ile z tej opowieści było prawdy, ale wiedziałam na pewno, że byłam po stronie biednej staruszeki, że szczerze jej żałowałam i stojąc przy płocie, ukradkiem, żeby nikt nie widział, płakałam nad jej losem.

28. ZAHODZIERNO

Ile wspomnień związanych jest z tym miejscem! Po przyjeździe do Atbasaru w 1942 r., mama z siostrą rozpoczęły pracę właśnie w tych zakładach. W następnym roku dołączyłam do nich również i ja. Pewnego dnia pod nieobecność mamy, przyszedł goniec i wręczył mi wezwanie, które musiałam pokwitować. Wieczorem, po powrocie z pracy, mama z przerwaniem przeczytała, że jest to skierowanie do młodzieżowego obozu pracy, tzw. ^{FZD} Pescu. Obozy były kulturalne, daleko od miejsca zamieszkania. Nie można było wyobrazić sobie mojego pobytu w takim obozie. Następnego dnia mama poszła do dyrektora Zahodzierno, Ryfina i ze żłani w oczach prosiła, by zatrudnił mnie, wydając zaświadczenie z datą wsteczną. Obawiał się odpowiedzialności, jednak zgodził się, lubił i szanował mamę za jej nieugiętą postawę. Często występowała w obronie praw pracowniczych, w obronie słabszych. Cenił tę odwagę, nazywając mamę gierojem. Ryfin był Żydem i po cichu sprzyjał Polakom. Do mamy zwracał się zawsze - pani Lipień. W obecności osób innych narodowości bywało, że pokrzykiwał na nas, ale były to raczej pozory, które miały ukryć jego sympatię do nas Polaków.

kiwanie, kontrolując jej przebieg i snów znikających. Nieraz wracał jeszcze na zakończenie dnia. Poza nim przez cały dzień pracy pilnował nas stróż, wyglądający bardzo groźnie, gdyż nie rozstawał się ze swoim karabinem, nosząc go stale na ramieniu. Strażników było trzech, pracowali na zmianę. Wśród nich był jeden szczególnie zły i naprawdę baliśmy się go. Właśnie on przysporzył naszej rodzinie wielu zmartwień... Za swoją ciężką pracę otrzymywaliśmy 600 g chleba na osobę i 300 g dla członków rodziny - dzieci, miskę zupy /jedną dużą łyżką masową/ przeważnie kaszę jaglaną, gotowaną na wodzie i omaszczoną olejem. Było wielkie święto, kiedy podawano nam grochówkę. Najczęściej jednak zupa była obrzydliwa, ale nie zwracaliśmy na to uwagi po wyczerpującej, ciężkiej pracy. Nie mogliśmy decydować się na przerwę obiadową, bo byliśmy zwykle bez śniadania. Nie było segarków, więc patrząc na słodce wysekiwaaliśmy dłuższej przerwy w pracy i obiadu. Niecierpliwie biegaliśmy pytać kucharkę, czy możemy przyjść na jedzenie. Poza tym płacono nam co miesiąc pensję wynoszącą ok. 200-250 rubli. Dla lepszego zobranowania wartości naszych zarobków podam, że pud pszenicy tj. 16 kg, kosztował 1200-1500 rubli. Nie było to odpowiednie wynagrodzenie za nasz trud. Jednak mieć stałą pracę, przydział chleba i jeszcze parę rubli, to i tak było wielkie szczęście.

Zimą w czasie przerwy obiadowej zjadałyśmy szybko posiłek i szukałyśmy miejsca nagrzanego zboża, by ogrzać się trochę i odpocząć. Marszyłyśmy potem jeszcze bardziej, bo odzież stawała się wilgotna od parującego zboża. Odpoczynek latem był przyjemnością, odbywał się na świeżym powietrzu i wpływał na wspólne rozmowy. Najczęściej sprowadzały się one do tematu trudnej sytuacji materialnej i czy dziś można będzie "natankować się". Było to popularne powiedzenie o braniu ziarna w różne zakamarki odzieży, do kieszeni /najmniej bezpieczne/, w rękawy, które w przegubach rąk były mocno związane, za koszulę uszytą z worka lnianego, czy konopnego i zimą w walonki. Najbardziej przykre było sypanie ziarna za koszulę zimą. Często ziarno wymieszane było ze śniegiem lub kawałkami lodu, wspane na gorące ciało smuszało do niekontrolowanego krzyku, a tu trzeba było działać bardzo cicho. Nieraz wracałyśmy do domu z takim zimnym okładem na pierśsiach, maszerując około 2,5 km, szczęśliwe, że udało się to ziarno przemieścić. Za nasze miesięczne zarobki można było kupić 2,5-3 kg pszenicy. Jeśli szczęście dopisało, mogłam jednego wieczoru przynieść dwukrotnie więcej. I tak każdy ryzykował, ale brał. Stało się to naszym głównym źródłem utrzymania. Do zakładów przywożono najwięcej pszenicy, mniej żyta, ziarno słonecznika i proso oraz kukurydzy. Proso wykorzystywano pod postacią gotowaną jak i smielone, do pieczenia chleba, gdy brakowało pszenicy. Chleb z proso był dość smaczny, zresztą nam wygłodzonym wszystkim

smakowało, ale tak ciężki, że nasz przydział 500 g to była mała kromka, którą zjadaliśmy na jeden posiłek. Natomiast z pszenicy porcja chleba wystarczała nam na dwa posiłki - obiad, kolację i nieraz zostawialiśmy sobie na śniadania, do kawy zbożowej. Piasek pszenne było białe, wyrośnięte, puszyste i lekkie. Z przyniesionego ziarna /a udawało się nam to nieraz kilka razy w miesiącu/ starałyśmy się zrobić pewien zapas mąki na tzw. czarną godzinę. Miałyśmy nawet swoje żarna do mielenia pszenicy. Kiedyś Ryfkin - dyrektor zakładów, będąc w dobrym humorze, śmiejąc się groził mamie palcem, mówiąc: "Oj, pani Lipień, u was żarna chodzą przez całą noc". A chodziły, chodziły! We dnie pracowałyśmy, nocą trzeba było młóć. Była to oczywiście aluzja, że s b y ł d u ż o tego ziarna bierze-my, że całą noc młóć się. Ryfkin to był bardzo dobry człowiek. Wiedział, że nie mieliśmy innego wyjścia. Przez całą zimę miałyśmy mąkę na sznurki zacierki, placki, a nawet piekłyśmy własny chleb. Jakże to było szczęście! Pomagała mama jeszcze innym biednym Polakom: Żołobowskiej, Fedorowiczowi i nawet Rosjance z góry - Niurze.

W zakładach naszych pracowały prawie same kobiety i w znacznej większości Polki. Poza trzema strażnikami był jeszcze jeden mechanik i chłopak, jego pomocnik. W sumie załoga wynosiła około 45 osób. Pracowałyśmy przy szufłowaniu ziarna w celu zabezpieczenia go przed grzaniem się, a głównym naszym zajęciem było ładowanie ziarna na wagony. Wagony podstawiane brudne po różnych ładunkach jak węgiel, wapno, drewno. Należało je najpierw dokładnie oczyścić. Ładowanie wagonów odbywało się transporterem, do którego zboże nosiłyśmy z magazynu workami lub poprzez noszenie zboża po trapach. Transportery często były zepsute, natomiast drugi sposób nigdy nie zawodził. Trapy to dwie grube deski, dość długie, skłócone w odpowiednich odległościach rozmieszczonymi poprzeczkami, po których się chodziło. Jeden koniec deski był oparty o wejście do wagonu, drugi o próg magazynu. I tak przez cały dzień, a często i noc chodziłyśmy z workami napełnionymi ziarnem. Trzeba było dobrze się śpieszyć, by wykonać wyznaczoną normę. Nikt nie mógł się tłumaczyć brakiem sił, kiedy kazano pracować całą dobę. Było to polecenie - rozkaz jak w wojsku. Zakłady miały szczególne rygory, gdyż pracowały na rzecz armii. Spóźnienie do pracy, opuszczanie dnia bez zwolnienia lekarskiego, odmowa wykonania polecenia - wszystko to było karane więzieniem lub karnym obozem pracy.

Za pracę w nocy otrzymywałyśmy dodatkowe 600g chleba. Zmęczone pracą musiałyśmy jeszcze przejść pieszko 2,5km drogi łączącej zakład z miastem. Nieraz korzystałyśmy latem, bo zimą było zbyt chłodno, z samochodów przywożących ziarno i wracających przez Atbasar. Pamiętam jak kiedyś, zimą, wyszłyśmy na nocną zmianę i tuż za miastem zobaczyłyśmy wiele błysz-

czących ogników zbliżających się w naszym kierunku. Nie było chwili do stracenia, wróciłyśmy biegiem, wpadając do domu stojącego na skraju miasta, w którym mieszkało kilka rodzin polskich, m.in. rodzina pani Kazimierzczak. Przerżnięte opowiedziałyśmy o spotkaniu z wilkami. Szłyśmy wówczas we trzy: ja z siostrą i /chybą/ Agnieszka Gruszkówna. Nie mogłyśmy opuścić pracy, odczekaliśmy dłuższą chwilę i z wielkim strachem, z duszą na ramieniu, wyruszyłyśmy po raz drugi. Całą drogę biegłyśmy, zmęczone, zziębnięte dobrnęłyśmy szczęśliwie do zakładu.

Idąc do pracy trzeba było przejść przez tory kolejowe. Innego przejścia nie było. Kiedy na torach stały długie zestawy wagonów, należało bardzo uważać przechodząc pod nimi, bo nie wiadomo było, kiedy taki pociąg ruszy. Zwykle jedna stała i pilnowała bezpieczeństwa, a wszyscy w tym czasie przechodzili, a w końcu pilnująca.

Od głównych torów szły dwie bocznice do naszych zakładów. Jedna przebiegała tuż obok magazynów zbożowych, druga szła prostopadle za magazynami, po ich wschodniej stronie, kończąc swój bieg w szacrym polu. Trzy ogromne magazyny wyjątkowo solidnie zbudowane, dość wysokie, mieściły duże ilości zboża. Jednak w sezonie przywożone ziarno nie mieściło się i zsypany je na duże przyny zabezpieczone od spodu i z góry płachtami brezentowymi. Za magazynami w odległości około 150m usytuowany był mały budynek służący jako laboratorium do badania zboża i stróżówka. Obok zadana waga do ważenia pojazdów i ładunku. Przy magazynach stała murewana budka z maszynami ~~stanowiącymi~~ do napędu transporterów. Od strony torów kolejowych, również niedaleko od magazynów /ok. 100m/, znajdowała się stołówka. Ziemianka wykopana na 1,5m w głąb ziemi i 0,5m wystająca ponad nią, przykryta słomą i ziemią. Przypominała z zewnątrz i od wewnątrz wiejską piwnicę na ziemniaki lub zwykłe kopce. Równie prymitywnie była urządzona. Stół z nieheblowanych desek, takie same dwie ławy na 10-12 osób, wmurowany w kuchnię duży kocioł. Odrodzony kącik służył jako magazyn na chleb, który codziennie wydawano w czasie obiadu. Magazyny natomiast wybudowane były z właściwych materiałów. Mocna, wysoka konstrukcja z drewna - grube krawędziaki, ściany z cementowych pustaków, ogromna podłoga powierzbiona wylaną kruszawą betonem, dach kryty deskami i papą zabezpieczoną lepikiem. Żadne inne budownictwo nie otrzymywało takich materiałów budowlanych.

Tak wyglądało nasze miejsce pracy, tu spędziłyśmy wiele, bardzo wiele dni z naszego czteroletniego pobytu w Atbasarze. Tej pracy świadczymy nasze życie, nasze przetrwanie.

29. JEŃCY WOJENNI

Jesienią 1944 lub 1945 roku do zakładu pracy przyprowadzono, pod konwojem, jeńców niemieckich. Straszny był to widok. Nie ludzie, lecz ich cienie. Obeszarpiane płaszczami wojskowe, brudne, porwane mundury wisiąły na wychudzonych do ostatniej granicy ciałach, resztki butów na nogach. Zarośnięci, oczy głęboko zapadnięte nie wyrażały już żadnych myśli ani uczuć. Szli parami, a raczej suwali nogami, z głowami pochylonymi, natychmiast reagując na każde, wydawane niemal krzykiem, polecenie strażników. Oni, jeszcze nie tak dawno ~~kapitulujący~~ tryumfatorzy, teraz zniewoleni, pozbawieni całkowicie godności ludzkiej, choć ledwo trzymali się na nogach, słuchali posłusznie wydawanych im poleceń. Było ich około dwudziestu. Gdzie przebywali - trudno było się domyśleć, przechodzili do pracy od strony pustego stepu i tam na powrót znikali. Myślę, że podobnie jak nam w 1940r. kazano im pobrać siemianki, których z oddali nie było widać. Przechodzili przez tory bocznicy przebiegającej poza naszymi zakładami. W tym czasie stały tam wagony, do których przywożono i ładowano główki białej kapusty. Udało się nam ~~zatrzymać~~ zdobyć kilka. Jedliśmy tę kapustę na surowo. Jaka była smaczna. Organizm pozbawiony witamin domagał się ich obojętnie pod jaką postacią. Chrupałyśmy ją jak króliki, spoglądając na bocznice, czy nie udałoby się zdobyć więcej. Niemcy przechodząc, chwytały jakby rosąpane na ziemi liście kapuściane i jedli je żapczywie. Płoc obok wagonów przed chwilą bielejący od resztek kapusty nagle opustoszał.

Magazyny zbożowe były zabezpieczone siarłem po brzegi. Dalesze dostawy sypwane na ogromne pryzmy przy magazynach od strony torów i naszej stożówki. Gdy przyprowadzono pierwszego dnia tych biednych ludzi, nie mogli oprzeć się pokusie, rzucili się na te sterty zboża i jedli żapczywie, leżąc ~~żupką~~ na brzuchu i nabierając siarło wprost do ust. Patrzyłyśmy na to z mieszanymi uczuciami litości i nienawiści. Litości, bo przecież byli to ludzie cierpiący głód, znałyśmy to uczucie zbyt dobrze. Nie dziwiło nas ich zachowanie. Byłyśmy jedynie pełne obaw, że ucztę ta może być ostatnią. Nie pozwolono nam zbliżyć się i interweniować.

Odzywało się również uczucie nienawiści. Stawała przed oczyma historia naszej tragedii. Zaczęła się ona przecież od agresji niemieckiej, a następnie sowieckiej. To oni byli współwinni tego, że zabrano mi ojca, że jesteśmy tak daleko od rodzinnych stron.

Następnego dnia przyszedła znacznie mniejsza grupa Niemców. Ukradkiem, w strachu przed strażnikami, wythumaczyli na migi, że wielu z nich nie doczekało rana. Ten fakt przeważał, stocunek nasz zmienił się radykalnie

na ich korzyść, pozostała tylko litość. Nie bacząc na wygrażanie strażników, tego dnia oddaliśmy wszystkie swoje racje żywnościowe - supę i cały przydział chleba. Byliśmy szczęśliwi, że choć w taki sposób mogliśmy ulżyć ich doli. Przychodzili do pracy jeszcze przez kilka dni i co dzień otrzymywali od nas jedzenie. Później więcej już ich nie widzieliśmy.

30. SZCZUDŁA //

Nadszedł taki okres, kiedy do magazynów przywieziono tylko ziarno prosa. Zapasy domowe kurczyły się, należało pomyśleć o ich uzupełnieniu. Ale jak przenieść ziarno. Było ono małe, śliskie, nie można było wycpać ani do rękawa, ani za koszulę, przeslizgiwało się przez każdą najmniejszą szparkę. Uprzedzały mnie pracownice, żebym nie brała prosa w walonki, bo nie będę mogła iść. Konieczność była silniejsza od obaw. Krótce przed zakończeniem pracy wycpałam ziarno do walonek w wolne przestrzenie wkoła żydki, oczywiście nie zdejmując ich. Stróż wyrzykowo sprawdził nam kieszenie i poszliśmy spokojnie do domu. Kiedy minęłam ogrodzenia zakładów i zbliżałam się do torów, poczułam, że proso przesypuje się coraz bardziej pod stopy wypychając nogi z walonek. Szłam jak na szczytach. Za chwilę musiałam minąć tory, miejsce bardzo niebezpieczne ze względu na chodzące tu patrole milicji. Zatrzymywali niejednokrotnie naszych pracowników, kontrolując kieszenie i torby. W takim stanie nie mogłam przejść w tym miejscu. Postanowiłam iść po śniegu obok torów i przejść dalej. Nie było innego wyjścia. Brnęłam po śniegu nie ruszoną stopą ludzką, zapominając zupełnie o wilkach grasujących w tym okresie zimy. Wreszcie przebrnęłam tory i znalazłam się tuż przy jakichś chatkach. Na wprost przytomna ze strachu i smęcenia zastukałam do jednej z nich i poprosiłam o woreczek na proso. Było mi już wszystko jedno, nie mogłam dalej iść w takim stanie. Rosjanka szybko zorientowała się w sytuacji. Pomogła mi opróżnić walonki, przesypana proso do woreczka, nakarmiła mnie jeszcze i po krótkim odpoczynku posłała do domu. Martwili się już o mnie. Gdy opowiedziałam mamie swoją przygodę, kiwała tylko głową i miała łzy w oczach, choć do płaczu nie była skłonna. Następnego dnia, wracając z pracy, prosiła o pokazanie domku, w którym się zatrzymałam. Powiedziała mi ścisząc głos, choć bliżej blisko nas nie było nikogo - "Córuchno, to dom milicjanta". Pomyślałam sobie tylko - nieźle trafiłam!

31. WPAJKA

Swoje szczęśliwe przetrwanie zszczęściłobyśmy Bogu. Wiele było takich momentów, że wydawało się, iż nadzedł koniec, sytuacja bez wyjścia. Wydarzenie, które opiszę, wydawało się nam właśnie taką sytuacją bez wyjścia. Wracałam z mamą z pracy. Byłyśmy obie bardzo zadowolone, wprost uszczęśliwione. Udało się zdobyć sporo węgla, same błyszczące bryły, a więc wysoce kaloryczny. Niosłyśmy go w workach, na plecach. Choć ciężko okropnie, ale słodki to był ciężar. Będzie czym palić na kilka tygodni, oszczędnie używając. Nie przypuszczałyśmy, że opał zdobyty zupełnie legalną drogą przysparzy nam tyle strachu. Szłyśmy wesoło rozmawiając, przez tory, a tu raptem groźny rozkaz - stój! Posłusznie zatrzymałyśmy się i czekamy. Podeszedł do nas milicjant kolejowy, kazał rzucić worki z pleców i otworzyć. Sprawdził i zapytał głupie - co to? Odpowiedź była jasna - węgiel. Skąd? To wymagało dłuższego wyjaśnienia. Węgiel pochodził z zakamarków podwozia wagonów, które podstawiano naszym zakładem w celu gaskowania ich zbożem. Wagony te najpierw oczyściłyśmy z resztek poprzedniego ładunku. Często wybierałyśmy z różnych zakamarków podwozia duże bryły węgla, które nie wypadły w czasie rozładunku. Wyjaśnienie nie trafiło do przekonania milicjantowi, zignorował je, nie chciał uwierzyć, chociaż mama prosiła, by zapytał nasze władze z zakładu. Nic nie pomogło, rozłoszczony kazał iść ze sobą na posterunek, odległy około 400m od miejsca zatrzymania. Worki powędrowały znów na nasze plecy i ruszyliśmy, my przodem, on za nami z karabinem na ramieniu. Przestraszyłam się okropnie, zdawałam sobie sprawę, jak srogo są karani ludzie przyłapani na kradzieży. Rozpłakałam się i rycząc głośno, szłam tak aż do samego posterunku. Mama początkowo uspokajała mnie, ale mając jeszcze inne smartwienie, przestała się mną zajmować.

Ubrana była w długi, granatowy, ciepły płaszcz, którego wewnętrzne kieszenie miały nienaturalną wielkość. Były uszyte celowo do noszenia pszenicy. Obie, napełnione po brzegi ziarnem, narobiłyby znaczenie większych kłopotów niż węgiel, gdyby zostały wykryte. W pewnej chwili mama zdobyła się na odwagę i poprosiła milicjanta, by zechciał iść przodem, bo my brniemy z ciężarem po kolana w śniegu, nie bardzo wiedząc, gdzie dalej iść. I tym razem dobra znajomość języka bardzo się przydała. Zapewniła, że nie uciekniemy, bo nie ma takiej możliwości. Posłusznie ruszył przodem, a my za nim. Mama idąc za mną powoli, wygarniała ręką zboże najpierw z jednej kieszeni, następnie z drugiej, wdeptując ziarno w śnieg. W ten sposób pozbyła się dowodu, który mógł być przyczyną paru lat więzienia. I tak dotarłyśmy do budki milicyjnej. Tam mama musiała jeszcze raz wyjaśnić wszystko, a ja

plakałam dalej. Drugi milicjant polecił wysypać węgiel do skrajni opałowej stojącej obok posterunku i odprowadził nas do domu. Mama wracała zadowolona, że udało się jej ukryć kradzież ziarna, ja natomiast plakałam nadal, ale teraz już ze złości. Szczęśliwym Straciłyśmy tak ciężko zdobyty węgiel /wszyscy pracownicy polowali na niego/ oraz pszenicę, która przeznaczona była na posiłki w najbliższych dniach. Mama zdawała sobie sprawę, że mogło zakończyć się o wiele gorzej, uspokajała mnie, a na dowód tego, że wyszliśmy zwycięsko, nuciła jakąś piosenkę.

32. OBÓZ PRACY

Był to rok 1945, sroga zima, silne mrozy i zawieje wstrzymały dostawy zbóż do magazynów. Jeśli coś przywieziono, natychmiast ładowałyśmy do wagonów i wysyłano je na front. Magazyny świeciły pustką. Przyszły dla nas ciężkie czasy. Coraz częściej głód gościł w naszych domach. Ale pewnego dnia rozjaśniło się, wiatr ucichł, miejscowi zapowiedzieli poprawę pogody na dłuższy okres. Zaczęły nadjeżdżać samochody i sanie z kołchozowym zbożem. Były to już kontyngenty dodatkowe, traktowane jako patryjotyczny obowiązek wobec tych, co bronią ojczyzny. Przywołujący narzekali, że sami nie mają co jeść. Tego dnia nasza brygada pracowała do późnej nocy, by zakończyć załadunek transportu. Postanowiłyśmy skorzystać z osłony nocy i wziąć do domu ziarno w co tylko się da: do kieszeni, za koszulę, w rękawy, do walonek, a nawet tak jak to uczyniła moja siostra, do małego woreczka. Dyżur pełnił bardzo zły stróż, wszyscy się go bali, ale tego dnia był wyjątkowo w dobrym humorze. Kilkakrotnie przechodził w czasie naszej pracy, żartował, śmiał się z naszych dowcipów, rozmawiał z nami, co się rzadko jemu zdarzało. Uległyśmy złudnym pozorom i zaryzykowałyśmy wzięcie pszenicy. Najczęściej brałyśmy za koszulę i tym razem, bardzo śpiesząc, sypnęłyśmy jedna drugiej po szuflę smarzonego, a kawałkami lodu ziarna. Okropne uczucie, ciało rozgrzane w czasie pracy, a tu taki okład z lodu. Nazywałyśmy to tankowaniem. Między nami a dobrymi stróżami było ciche porozumienie, wiedzieli kiedy, przed skończeniem pracy, nikt z władz nie przyjdzie i mówili brygadzistkom, że dziś możecie wziąć, dodając - ale nie dużo! Przed odejściem do domu, przed magazynami pozorując kontrolę /codzienne sprawdzanie należało do ich obowiązków/, obmacywali nasze ubrania i nie znajdując /choć każdy ziarno miał/, machali ręką, że możemy już iść. Nieczęsto zdarzały się takie okazje, więc należało je wykorzystywać we właściwy sposób, biorąc gdzie się tylko da. Tylko ten jeden Kazach był zupełnie nieczuły na naszą biedę. Każdorazowo kontrolował nas bardzo dokładnie, sprawdzając wszystkie możliwe kryjówki. Nie umknęła jego

uwadze nawet garstka słonecznika lub pszenicy w kieszeni, kazał wrócić do magazynu - parszkając ze złości - i wysypać.

W tym dniu dziewczyny, osmielone jego dobrym humorem, pytały czy można wziąć troszkę ziarna, gdyż jesteśmy głodni, w domu nie mamy nic. Uśmiechał się tylko, nie odpowiadając. Po zakończeniu pracy, sprzątnięcia i pozamykaniu magazynów wyszliśmy na ścieżkę prowadzącą w kierunku torów. Ledwo odeszliśmy kilkanaście kroków, gdy usłyszałyśmy krzyk stróża - stój. Był przerażający, zły. Wszystkie dziewczyny zamiast stanąć, zaczęły uciekać w kierunku magazynu. Ciągnęły się w małych drzwiczkach wielkich wrót, by jak najszybciej znaleźć się w środku i wysypać to, co wzięły. W magazynie rozpięzły się w najciemniejsze kąty, by w spokoju pozbyć się ziarna. On jednak pobiegł za jedną, krzycząc - stój- bo będę strzelał! Dziewczyną tą była moja siostra, przestraszona uciekała sama, nie bardzo wiedząc dokąd. Weszła między górę nawianego śniegu a ścianę magazynu, rzuciła woreczek, który miała pod chustą, jaką była nakryta, odbiegła od niego kilka kroków i kucnęła, udając, że się szatwia. Tam właśnie chodziliśmy na swoją potrzebę, bo na terenie zakładu nie było żadnej ubikacji. Stróż zadyszany ze złości i smęczenia podbiegł do niej, chwycił za rękaw i pociągnął do leżącego woreczka, wreszcie kazał podnieść, odmówiła twierdząc, że to nie jest jej. Podniósł go sam i trzymając siostrę nadal, zaprowadził do laboratorium, zważył /było około 4kg/ i zadzwonił na milicję. Jaka była reakcja milicji, nie wiedzieliśmy. Wreszcie kazał jej iść do domu. Wszystkie dziewczyny czekały na nią przy torach. Zasypały ją pytaniami i słowami pociechy, widząc, że płacze i nie może w ogóle mówić. Twierdziły, że bardzo dobrze zrobiła, nie pragnąc się i żeby przy tym trwała. W razie potrzeby będą świadczyły na jej korzyść. W tym dniu nie było z nami w pracy naszej mamy, zawsze nad nami czuwała, nie dopuściłaby do takiej sytuacji.

Siostra moja, Alinka miała wówczas 19 lat. Była ładną dziewczyną o ciemnych oczach, kasztanowych włosach oplecionych w dwa warkoczki. Skromna, cicha, nieśmiała, ustępująca z drogi każdemu. Zupełne przeciwieństwo mojego charakteru. I, że to właśnie jej się przydarzyło, jak ona to przeżyje? Mama bardzo dążyła się, że wpadła na pomysł ~~nieprzynanie~~ nieprzynanie się do woreczka z pszenicą. Znałyśmy jej niezapadłość ~~nieprzynanie~~ i szczerłość charakteru. Była bardzo lubiana przez wszystkich w brygadzie. A tu naraż takie nieszczęście. Nie można było wyobrazić sobie jak wytrzyma rozprawę sądową, która była nieunikniona, a następnie, jeśli nie uniewinnią, odbywanie kary. To było przecież ponad jej siły fizyczne i psychiczne.

Następnego dnia mama rozpoczęła starania o wycofanie oskarżenia. Mieszkańców miasteczka było mało, ale służb bezpieczeństwa i milicji sporo.

Sprawa więc nabrała szybkiego biegu. Złożony w milicji przez stróża protokół, już był rozpatrzony i sprawę skierowano do sądu. Nawet dyrektor Ryfkin nie był w stanie pomóc. Mówił, że stróż ten przysparza mu wielu kłopotów swym zbyt gorliwym podejściem do spraw służbowych / po pewnym czasie zwolnił go/. Uzyskała mama jedynie u dyrektora bardzo pochlebną opinię na piśmie o pracy Aliny. Wypowiedź sędziego, do którego mama poszła na rozmowę, uspokoiła ją, gdyż oznajmił, że sprawa jest poszlakowa i będzie zależała od tego, jak będą zeznawać świadkowie. Trzeciego dnia, rano milicjant zabrakł siostrę w celu złożenia zeznań. Jak prawdziwego przestępcę prowadził pod konwojem! A czwartego dnia była już rozprawa. Mama chodziła razem z nią wszędzie: na zeznania do milicji, na zeznania do sądu, na rozprawę. Rozprawa była krótka - jeden świadek - Polka zeznawała na korzyść siostry, drugi świadek - Białorusinka, którą stróż, ten sam, nakrył z pszenią wcześniej i darował jej winę, zeznawała przeciw siostrze. Wyrok zapadł - rok więzienia. Jak małe dziecko, płacząc, trzymała mamę za szyję, nie chcąc odejść. Zabrano ją siłą. Przez pewien czas siedziała w celi. Następnie z kilkoma innymi dziewczynami, które siedziały za opuszczenie pracy, spóźnienia i inne drobne przewinienia, wywieziono za miasto około 3-4 km, na drugi brzeg rzeki, gdzie znajdował się niewielki obóz pracy. Rozpoczęto tam przygotowania, na wydzielonym obszarze, tuż nad samą rzeką, do założenia ogrodnictwa. W tym czasie właśnie rozpoczęto eksperymenty z uprawą warzyw, dotąd tam nie znanych: ogórki, pomidory, kapusta. Zakładano je nad brzegami rzek, dobrze pielęgnując i wykorzystując darmową siłę roboczą. Kto jadł owoce tych zabiegów, nie wiadomo. My przez cały sześciolletni okres pobytu nie widzieliśmy żadnych owoców ani warzyw, z wyjątkiem /kilkakrotnie/ arbuzów i melonów oraz od czasu do czasu udało nam się kupić kilka kilogramów ziemiaków.

Siostrę wywieziono do tego obozu na usilną prośbę mamy. Bała się, że Alinka będzie odesłana do innego więzienia lub obozu, daleko od miejsca zamieszkania i straci z nią całkowicie kontakt; takie przypadki były powszechne. Teraz, kiedy każdy wolny dzień wykorzystywała na odwiedziny. Komendantem obozu był Rosjanin. Kilkakrotna rozmowa mamy z nim usposobiła go przychylnie do siostry. Pozwalał na częste kontakty. Każdorazowo zanosila coś do jedzenia. Poza tym złożyła pisemną prośbę do ministra sprawiedliwości o udzielenie. Mimo czuwania mamy nad całą sprawą, siostrze bardzo przeżywała swoją izolację. Kilka razy w czasie odwiedzin zemdlała. Opowiadała, że co pewien czas dostaje wysokiej gorączki do utraty przytomności. Lekarz więzienny podejrzewał malarię. Mama ją pocieszała mówiąc, że lada dzień oczekuje odpowiedzi od ministra, jest dobrej myśli. Wybawienie nadeszło niespodziewanie. Maj 1945 roku, zakończenie wojny, Niemcy podpisują kapitulację. Równocześnie z tym poważeczną radość i ogłoszenie

amnestii. Objęła ona tylko niektóre rodzaje przestępstw, wyroki do 5 lat z wyłączeniem więźniów politycznych. Objęła jednak moją siostrę. Zanim nadeszły zarządzenia wykonawcze, musiała jeszcze przebywać w obozie. Tymczasem mama otrzymała odpowiedź z ministerstwa, w której przychyłano się do prośby, ułaskawiając jej córkę Alinę. Następnego dnia była już w domu. Nie było kłopotu z ponownym przyjęciem do pracy. Przykre doświadczenie wywarło jednak wielki wpływ na jej dalsze postępowanie. Bała się wszystkich i wszystkiego. Nie wzięła już więcej nigdy pszenicy do domu, choć było jeszcze wiele trudnych chwil.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX
33. TRUDNY PRZEDMÓWEK

Wiosna zwykle przynosi ze sobą radość życia. Otwierające nas piękno budzącej się do życia przyrody przytłumia, ucisza troski. Wszystko staje się przyjemne, jasne, jak jasne jest niebo i słońce.

Każdą wolną chwilę starałam się spędzać na otwartej przestrzeni stepowej, która zaczynała się tuż za miastem. Zakłady zbożowe świeciły pustkami, dostawy zboża ustały zupełnie. Utworzono jedną brygadę z samej starszej młodzieży i wysłano ją do pracy w kołchozie odległym o 30-40 km. Pozostałych pracowników podzielono na dwie grupy; jedna zatrudniona była przy sprzątaniu magazynów, drugą wysłano na urlop - w tej grupie znalazłam się ja. I tak na zmianę pracowałyśmy. W czasie wolnym nie otrzymywałyśmy racji żywnościowych. Było to zapewne związane również z ogólnie trudną sytuacją żywnościową. Czasu więc miałam coraz więcej. Wychodziłam ze swoim braciuzkiem na dalekie spacery. Zachwycałiśmy się oboje zmieniającym się z dnia na dzień krajobrazem. Nie mogło to jednak zastąpić pożywienia. Coraz dokuczliwszy stawał się głód, a na organizmie pojawiły się pierwsze jego ujemne skutki. Uzębienie nóg opanowała próchnica szybko postępująca, na nogach, nieco powyżej kostek, pojawiły się najpierw czerwone spuchnięte plamy, później ropiejące rany. Takich utworów miałam na każdej nodze po sześć czy nawet osiem. W tym czasie zachorowała też mama. Miała częste ataki kamicy nazwanej żółciowej. Silne bóle utrudniały wykonywanie pracy, która wymagała wielkiego wysiłku fizycznego. Zwolnienia lekarzkie nie wchodziły w rachubę, bóle przychodziły nagle i nieraz dość szybko mijały, a były i takie dni, że męczyła się całymi godzinami. Po ataku była bardzo osłabiona i nie wydajna w pracy. Dowiedziawszy się o tym dyrektor i podjął natychmiastową decyzję przeniesienia mamy do lżejszej pracy. Przejęła obowiązki stróża ogrodów - działek pracowniczych. Działki

należały do ludzi z władzy, partii. Dyrektor naszych zakładów również miał tam swój ogród. Lżejsze życie sprzyjało zdrowiu. Przez cały dzień na świeżym powietrzu, odpoczynek sanim rośliny podrosły, można było nawet pospać. Stróżowała od wczesnego ranka, a na noc przychodził Kazach. Przed spiekotą, a nocą przed chłodem, chroniła siemianka specjalnie w tym celu wybudowana. Mając dużo wolnego czasu odwiedzaliśmy z bratem mamę codziennie. Ogrody znajdowały się po drugiej stronie rzeki. Najczęściej przecho-
dzikam rzekę wpraw, w dość płytkim jej miejscu, sięgającym ledwie pasa, niosąc brata na ramionach. Z tego przejścia korzystała też mama. Można było iść przez prowizoryczną kładkę, ale była to wówczas dłuższa droga o około 2,5 km. Przechodząc z bratem na ramionach, musiałam bardzo uważać, żeby się nie przewrócić, gdyż dno było kamieniste i śliskie. Odwiedziny moje nie były zbyt wesołe. Mama niezmiernie siedziała tam cały dzień głodna, a ja nie miałam nic, by jej zanieść. Już od dłuższego czasu głodowaliśmy. Każdą zdobytą żywność pozostawiało się najmniejszemu z nas - Stasiowi. Pewnego dnia dostałam od sąsiadki - Miury kubeczek żyta. Nie wiedziałam na co go spożytkować, co można z takiej ilości ziarna zrobić. Postanowi-
łam uprażyć, by miało przyjemny zapach, następnie zmęłam na kaszę i ugo-
towałam krupnik. Choć gotowałam go przez kilka godzin, krupy były mało
kleiste i twarde. W południe, bez brata, wybrałam się do mamy, by zanieść
ten posiłek. Poprzedniego dnia przeszła ulewna burza, woda w rzece znacz-
nie się podniosła. Niosłam tę supę ostrożnie, jak największy skarb, żeby
nie wylać. Przechodząc przez rzekę, kubek z supą trzymałam nad głowę. Wo-
da sięgała mi najpierw do pasa, później podnosiła się coraz wyżej, aż do
ust. Brnęłam dalej podnosząc się na palcach. Były i takie momenty, kiedy
noga raptem sędliwiwała się z kamienia i woda przykrywała mi głowę, ale
kubka z supą nie wypuściłam z rąk. Wyszłam na brzeg, paguszki były ciepłe
i słońce szybko wysuszyło moje włosy i ubranie. Mama jadła supę z
wielkim apetytem, pytając mnie: "a ty jadaś, córeczko?" Odpowiedziałam
twierdząco, choć było inaczej, ale nie było przecież czym się dzielić.
Wytrzymałyśmy ten bardzo trudny dla nas przedówek. Wróciły znów "tłuste"
czasy. Wczesne odmiany pszenicy zaczęły szybko dojrzewać i sypały obficie
złotym ziarnem. Magazyny napełniły się znów po brzegi. Wszystkie trzy
brygady rozpoczęły normalną pracę. Praywożono nieraz wspaniałą odmianę
pszenicy, tzw. kubankę. Ziarno bujne o jasnozłotym kolorze, a pachniało
swoją świeżością. Z tej pszenicy, odpowiednio wysuszonej i smielonej, go-
towałyśmy kaszę mannę z mlekiem. Był to nasz największy przysmak. Ja sta-
łam się teraz głównym "zaopatrzeniowcem". Mama pracowała nadal w ogra-
dach, siostra mocno przestraszona poprzednią wpałką nie chciała ryzykować.
"Tłuste" czasy trwały aż do następnej wiosny.

34. NIEBEZPIECZNA CHODZA PARANKI

W tym czasie, kiedy siostra siedziała w więzieniu, ja zachorowałam na owrzodzenie nóg. Przez dłuższy czas chodziłam do pracy i leczyłam się w domu dostępnymi środkami - siólkami. Był to właśnie okres przedwiośnia i głód pogarszał mój stan zdrowia. Po kilku miesiącach choroba przybrała takie rozmiary, że mama postanowiła zwrócić się o poradę do lekarza. Lekarka, kobieta, podobno przyjechała tu z frontu i została, po obejrzeniu moich nóg przyjechała mnie na leczenie szpitalne. Był to ten sam szpital, w którym na początku szczytki przebywała mama z moim małym braciszkiem. Salta, w której mnie położono, mieściła się w suterenie. Dzielne światło docho-
dziło do jej ponurego wnętrza ledwo, ledwo. Zły stosunek lekarki do cho-
rych potęgował przygnębiający nastrój. Była ona w średnim wieku, niska,
przeciętnej urody, o wyjątkowo przykrym usposobieniu. Krzyczała często na
personel obsługujący chorych, krzyczała na chorych, wszystko ją denerwowa-
ło, stale była w złym humorze. Nigdy nie było wiadome na kim i kiedy swą
złość wyładuje. Bałam się jej strasznie. Na domiar złego, po kilku dniach
pobytu, tuż obok mnie, zmarł chłopczyk około 7 lat. Nie stykałam się nig-
dy tak bezpośrednio ze śmiercią, ^{tytuł barokowy 20} a jeszcze ten dodatek było to dziecko.
Kiedy przebywałam w szpitalu zakaźnym, umierali ludzie masowo na tyfus,
ale miałam wówczas silną temperaturę i nie wywierało to na mnie takiego
wrażenia jak teraz. Przez następne noce nie mogłam spać i choć byłam głod-
na, nie mogłam jeść. Przy pierwszej wizycie mamy prosiłam usilnie, by mnie
zabrała. Moja wybujała fantazja i przeżycia związane ze śmiercią chłopca
były niczym w porównaniu z tym, co przekazała mi lekarka. Oznajmiła, że
owrzedzenie moich nóg jest nieuleczalne i nie pozostaje nic innego jak am-
putacja obu nóg do kolan. Obciąż nogi! Kalectwo, okropne kalectwo na resz-
tę życia! W tym przypadku chyba lepszym wyjściem jest śmierć! O decyzji le-
karki dowiedziałam się dopiero po powrocie do domu, kiedy mnie witano z
okrzykami radości. Przez następne półtora tygodnia zajmowała się mną tylko
młoda pielęgniarka. Od czasu do czasu lekarka oglądała moje nogi rany, ki-
wając ze zdumieniem głową. Wyjaśnienie tych dziwnych zachowań odkryłam nie-
co później. Gdy mama odmówiła amputacji, lekarka kazała mi wypisać ze
szpitala. Obroniła mnie pielęgniarka, prosząc by pozwolili jej zająć się
leczeniem. O dziwo strzymała zgodę. Pielęgniarka codziennie przemywała mi
rany utlenioną wodą i zasypywała je kryształkami nadmanganianu potasu, w
bardzo małych ilościach. Po kilku dniach nastąpiła wyraźna poprawa. Minę-
ło półtora tygodnia, gdy po ranach zostały niewielkie ślady w postaci stru-
pów. I o własnych siłach, na własnych nogach wróciłam szczęśliwa do domu.

XXXXXXXXXXXX

35. OJ. PAHI...

Były nieraz bardzo zabawne momenty, które wspominając, śmieszmy się do łez. Zimą 1945 r. miałyśmy niewielki zapas opału. Wszystkie możliwe miejsca do zbierania kiziaków - wysuszonych odchodów bydłących, były już przez mieszkańców Athasaru spenetrowane i oczyszczone. Jedynym źródłem opałowym pozostał węgiel zbierany z wagonów podstawianych w Zahodzierno. Ale trzeba było czekać na taką okazję, bo podstawiane wagony nie zawsze były po węglu. Poza tym wszyscy pracownicy czekali na tę okazję, nie wiele więc można było zdobyć tego węgla. Raz udało nam się zdobyć więcej, ale pech chciał, że natknęłyśmy się z mamą na patrol milicyjny i węgiel zasilił posterunek kolejowy. Największe mrozy, a tu u nas zupełny kryzys opałow. Nie było nawet na czym gotować posiłków i choć trochę ogrzać mieszkanie. Okoliczne płoty, wykonane z długich, grubych i szerokich desek przywieszonych zapewne dawniej, z dalekiej tajgi, wprost kuski swym suchym, szolnym drewnem. Nasz sąsiad, baletmistrz, wyszedł pewnego wieczoru ze swojego pokoju, zacierając ręce z zimna, choć był ubrany w płaszcz i okrycony szalem. Odezwał się do mamy: "Pani, może pójdziemy i przyniesiemy kilka desek z płotu?" Propozycja spodobała się mamie. Wieczór był bardzo mroźny, pełnia księżycza jaskrawo oświetlała czystą biel śniegu. Miasto było widać prawie jak za dnia, tylko oświetlone innym światłem. Taka sytuacja nie sprzyjała ich zamiarowi, ale postanowili iść, decyzja zapadła. Po drodze wtapili jessuse do Rosjanki, żony pułkownika /też zesłańców/, z którą nasz baletmistrz przyjaźnił się i wzięli ją do pomocy. I tak w trójkę poszli odrywać już wcześniej upatrzone deski. Drewno na mrozie, w zupełnej ciszy, narobiło, w czasie odrywania tyle hałasu, że psy zaczęły szczekać, a nasz baletmistrz nie wytrzymał ze strachu i uciekł. Biedne dwie kobiety musiały radzić sobie same. Oderwały dwie ogromne, długie - około 4-5 m i szerokie deski, że trudno było uchwycić je pod pachę. Przyciągnęły tę zdobycz po śniegu aż do naszego domu. Wówczas Ormianin czując się mocno winny, uwijał się ze zdwojoną energią, wciągając je ^(deski) do mieszkania. Oczywiście nie mieściły się, drzwi musiały być otwarte aż pocięto je na krótkie kawałki. Wszystkie te zabiegi należało wykonywać ostrożnie, cicho i w wielkim pośpiechu. Obie panie robiły baletmistrzowi wymówki, a on mocno zawstydzony powtarzał wciąż to samo: "oj, pani, oj pani..." Za karę musiał iść i pozacierać ślady na śniegu prowadzące wprost do naszych drzwi.

35. PAN FEDOROWICZ

Pewnego bardzo mroźnego dnia w czasie śnieżnej wichury wszedł do nas człowiek, prosząc o pozwolenie ogrzania się nieco. Był to mężczyzna dość młody około 30-35 lat, wiek trudny do określenia ze względu na silny narost, potężnej budowy, o łagodnych, regularnych rysach twarzy, ciemnych długich lekko układających się włosach, piwnych oczach i długiej prawie czarnej kędzierzawej brodzie. Ubrany był w ciepły płaszcz, długie buty oficerki i ciepłą czapę. Pamiętam jego duże łagodne i bardzo smutne oczy. Ubranie jego było całe w śniegu /broda też/ od szalejącej na dworze burzy śnieżnej. Uniósł nieśmiało na zawieszony na której stało wiadro z wodą. Po pewnym czasie, kiedy się już ogrzał, indagowany przez mamę, w kilku zdaniach opowiedział o sobie. Był zesłańcem, ze wschodnich okolic Polski, początkowo więziony, a następnie zesłany do Kazachstanu. Mama odniosła się do tej opowieści z pewną rezerwą, gdyż wśród nas, Polaków nie było w ogóle mężczyzn /młodych/. On był jedynym przypadkiem. Mroz, zawieje wpłynęły na decyzję mamy. Zostaje u nas. I tak pan Fedorowicz /nie pamiętam jego imienia/ "grzał się" u nas ponad rok, aż do wyjazdu. W pokoju już naprawdę nie było gdzie spać. Nas czworo, Suworowa i jeszcze jedna pani z dzieckiem. Same kobiety, to zbyt kępujące. Obok naszego pomieszczenia była mała komórka, zapewne dawniej służyła do przechowywania ziemniaków, bez okna i podłogi. Wchodziło się do niej przez małe drzwiczki. Pan Fedorowicz pierwsze dni spał w naszym pokoju, a następnie wywoźcił sobie tę komórkę sianem i na noc spędził tam spać. Jak on biedny wytrzymał w tej nieogrzewanej, wilgotnej, małej komóreczce! I za to był bardzo wdzięczny, miał stałe miejsce zamieszkania. Przez cały dzień, do późnego wieczora przebywał z nami, ale rzadko włączał się w nasze rozmowy, najczęściej słuchał naszych opowiadań. Niewiele wiedziałyśmy o nim; powściągliwy w rozmowie, siedział zwykle samyślonny ze wzrokiem błędzącym gdzieś daleko. Przyzwyczaiłyśmy się do jego obecności i traktowałyśmy jak kogoś bardzo bliskiego. Jako swój obowiązek uważał codzienne przynoszenie z rzeki wody. Była to czynność dość ciężka i należała przedtem do mnie. Wodę nosiło się w dwóch wiadrach lnu zawieszanych na korosyśle. Pożyczaliśmy je od Miury, gdyż swojego nie miałyśmy. Wodę czerpało się z przerebli i z pełnymi wiadrami trzeba było wspiąć się po wysokim i śliskim od rozlewanej i natychmiast zamarzającej wody zboczu. Przejął również obowiązek palenia w płycie i starania się o opał. Pomagał mamie na ile starczyło mu sił i możliwości. My zaś ze swej strony starałyśmy się ulżyć jego doli i dzieliłyśmy się z nim swymi racjami żywnościowymi.

Wspomniał go bardzo miło, gdyż był skromny, cichy, nigdy nie skarżył się na swój los. O jego nieśmiałości i skromności niech świadczy takie oto zdarzenie. Latem, pewnej nocy, siostra wstała z pryczy /łoże zbite z desek/ i zemdląca, padając obok. Mama przerażona zaczęła wzywać pomocy, wołając pana Federowicza z komórki. Praybiegł natychmiast i stanął bezradny, odwracając oczy w bok, nie wiedząc co ma czynić, bo siostra była zupełnie naga. Spażyśmy latem wszystkie nago, bo nie było nocnych koczul, a dzienne były zawsze po pracy prane. Biedak tak był tym skrzepowany i o-nieśmielony. Dopiero kiedy mama krzyknęła: "Czego pan tak stoi, proszę pomóc ją na pryczę!", nabrał odwagi, podniósł siostrę z podłogi i ułożył na posłaniu. Szybko wróciła do przytomności, a pan Federowicz poszedł spać do swojej komórki.

Stanowiliśmy w tym mieszkaniu w szczyty jedną rodzinę. Mama dzieliła się tym, co zdołaliśmy zdobyć w naszym zakładzie pracy. Dlatego pan Fedorowicz nie pracował, tego nie wiem, przecież wszystkich obowiązywał przymus pracy. Wychodził nieraz z domu na kilka godzin i wracał, przynosząc bochen chleba, lub inną żywność. Mieszkał u nas do maja 1946 r. W tym czasie przeżył chyba najgorszy moment swego życia. Władze miejscowe nie wydały mu zezwolenia na wyjazd do kraju rodzinnego. Z taką odmową spotkało się wówczas wiele osób i sierot polskich. Nie wytrzymał tego ciosu, rozplakał się jak dziecko. Mimo odmowy szycował się do drogi, przygotowując przede wszystkim suszony chleb i bochen świeżego. Powiedział mamie, że jeśli nie uda mu się wsiąść do transportu, po kryjomu, nielegalnie, to skończy ze sobą, rzucając się pod ten pociąg. Dłużej już nie znieśie tej sytuacji. W dniu wyjazdu pośegnał się z nami i wyszedł pierwszy z domu z bochenkiem chleba za pachną i małym węszkiem pod pachą. Nie widzieliśmy go już nigdy więcej i nic o nim nie słyszałyśmy.

37. KONIEC WOJNY

Niewiele docierało do nas wieści na temat wydarzeń wojennych. Nie mieliśmy w ogóle prasy. Jedynym łącznikiem między światem a naszą szarą rzeczywistością był Ormianin - baletmistrz, który pracował w biurze u Ryfki-
na i od niego dowiadywał się o niektórych wydarzeniach. A poza tym chodził do swojej sympatii, Rosjanki, o której już wspominałam i u niej słuchał po kryjomu radia. Słuchanie radia było zesłańcom zabronione pod karą więzienia. W wielkiej tajemnicy przekazywał wiadomości mojej mamie. Nie chcąc go narażać, zachowywała te wieści tylko dla siebie. I tak doczekaliśmy końca wojny. Sprzedawałam jakieś kartki przydziałowe, które mama

otrzymywała od urzędniczek - Rosjanki. Były to kartki tzw. "lewe" i za ich sprzedanie otrzymywałam pewien procent utargowanej sumy. Za zrobione pieniądze mogłam kupić mąkę do oświetlenia, sól, zapachki, a nie-raz, jak dopięgło szczęście, trochę landrynek dla naszego Stasia. Nie pamiętam, do kupna jakich towarów uprawniały te kartki, wiem tylko, że nie-śle na nich zarabiałam.

Niektóre już wszystkie sprzedane i chciałam wracać do domu, gdy usłysza-łam z budynku partii i władz miejskich, donośny głos mówiący przez tubę. Podano wiadomość o zakończeniu wojny. Obok mnie stał inwalida, jeszcze niedawno zapewne żołnierz, na jednej nodze, drugą zastępowała mu kula. Podniósł ją do góry, zaczął wymachiwać i głośno krzyczeć, już nie pamię- tam co. Wiatr rozwiewał jego szynel na boki, ukazując pustą nogawkę. Wresz- cie rozplakał się, nachwiał na jedną nogę i upadł. Kilka osób podbiegło, by go podnieść, inni podnieśli ręce do góry, krzyczeli, śpiewali, ciesz- yli się i płakali z tej radości. Ich euforia była całkowicie uzasadniona. Chyba na tym przypadkowym zgromadzeniu nie było ani jednej osoby, która m- nie ucierpiałaby z powodu tej wojny. Tylko ja jedna nie wiedziałam, co to zakończenie wojny oznacza dla mnie, czy mam powód do radości, jak potocz- się w związku z tym nasze dalsze losy. Stałam i patrzyłam na tych ludzi i nie wiedziałam czy ta ogólna radość będzie też moim udziałem, czy w mo- im życiu coś się zmieni? Cóż więcej pytać tłoczyło się w mojej głowie. Rosejrzałam się dookoła, plac pustoszał, ludzie w pośpiechu zaczęli opuszc-zać rynek, ruszyłam i ja do domu. Dążyłam, by szybko podzielić się z mamą tą wiadomością. Mama była w pracy, siostra jeszcze w obozie, m- nie miałam z kim porozmawiać. ~~Wszystko było tak jak przed wojną~~

Respoczął się okres wyczekiwania. Co z nami będzie dalej? Z delegatu-ry pana Gębika /czy Głębika, dokładnie nie pamiętam/ dochodziły pociesza-jące wiadomości, że zakończenie wojny przynosi również zakończenie naszej poniewierki, że w najbliższym czasie będą kompletowane dokumenty na powrót do kraju. Z tą nadzieją musieliśmy przeżyć równo cały rok, do maja 1946.

38. RADOŚĆ I SMUTEK

Nadszedł wreszcie oczekiwany moment składania posiadanych dokumentów w delegaturze polskiej w Athesarnie, u pana Gębika. Trzeba było udowodnić, że jest się Polakiem, że znaleźliśmy się tu nie z własnej woli. Na szczę-ście takie dokumenty posiadaliśmy: naszej mamy dowód osobisty, w którym znajdowała się adnotacja NKWD wystawiona na żądanie (mamy) dotycząca na-

szej narodowości polskiej oraz dokument aresztowania nas w Prużanie.

Delegatura, a raczej kilka filii delegatury mieściła się w budynku starszego państwa, który poprzednio zajmował się gromadzeniem darów UNRRA. Po aresztowaniu, wrócił dość szybko do swojej rodziny i teraz zaczął organizować wyjazd Polaków do Ojczyzny. Zebrane dokumenty przekazywał do NKWD, gdzie akceptowane je lub nie. I tu był początek nowej tragedii. Wśród Polaków zagościły mieszane uczucia: radości i smutku. Wiele rodzin, w czasie otrzymywania dowodów osobistych, licząc na poprawę warunków lub bliżej nieokreślone względy, podawała narodowość białoruską lub ukraińską. Innym natomiast brakowało dowodów zsyżki. Nie było mowy o zmianie narodowości. Pozostało to twarzym faktem, przesądzającym o ich losie. Wiele osób wychodziło z biura delegatury, nie znajdując dla siebie ratunku. Mama nasza cieszyła się wielkim autorytetem wśród Polaków, przychodzili więc niektórzy, by poradzić się co dalej czynić. Zebrała delegację i poszła z nimi do władz z prośbą, by pozwolono wrócić, chociaż na dawne polskie tereny, skąd ich zabrano. Odpowiedź była jedna: wyjeżdżają tylko Polacy, którzy posiadają wymagane dokumenty.

W czasie akcji wydawania Polakom dowodów osobistych /sowieckich/, wielu rodaków przeżyło okropne represje. Do dowodów wpisywano obywatelstwo ZSRR. Przerażenie ogarnęło wszystkich, masowo odmawiano przyjmowania dokumentu. Osoby o nieugiętym, twardym charakterze, które w ogóle nie chciały przyjąć dowodów, wywołano daleko odosiedli i w gołym stepie, pod gołym niebem zostawiano bez jedzenia, bez picia, aż do chwili przełamania oporu. Ścierały się ze sobą: despotyczna, wszechmogąca i bezwzględna władza z patriotyzmem, odwagą, wytrzymałością, nieugiętą postawą. W takich warunkach oczywiście nie mogli długo wytrzymać i w końcu ulegali, mając na uwadze swoje rodziny - dzieci, które pozostały na łasce losu. Trzeba było wrócić do nich, trzeba było myśleć o tym, aby przeżyć, a nie umierać na stepowej spiekocie. Nie wygrali z władzą, musieli przyjąć obywatelstwo sowieckie. Nie wygrali również wtedy, kiedy wiedzieli, że mają całkowite prawo do powrotu, do życia we własnej Ojczyźnie, a nie w dalekim Kazachstanie. Nie pomogły żadne starania, nie pomogła rozpacza, musieli pogodzić się z losem i myśleć o dalszym ciężkim życiu na wygnaniu.

Na początku 1946 r. pozwolono zorganizować polską szkołę. Rozpoczęłam dalszą swoją edukację od klasy czwartej. Do szkoły chodziłam wieczorami. Po trzech miesiącach nauki otrzymałam świadectwo ukończenia tejże klasy. Dokument zachował się do chwili obecnej, choć minęło bardzo wiele czasu. Postępani w nauce nie mogłam się chwalić, gdyż ze wszystkich przedmiotów, jakie miałam, otrzymałam oceny zaledwie dostateczne, tylko z zachowania i ćwiczeń cielesnych ocenę bardzo dobrą oraz ze śpiewu i rysunków ocenę

dobrą. Oprócz tego uczyliśmy się j. rosyjskiego, polskiego, arytmetyki, przyrody, ~~geografii Polski i ZSRR, historii Polski i ZSRR.~~ geografii Polski i ZSRR, historii Polski i ZSRR. Była to nauka w nadzwyczaj przyspieszonym trybie, bez programów nauczania, bez podręczników, zeszytów i innych pomocy. W domu nie poświęcałam nauce ani chwili, gdyż nadal pracowałam ciężko. Wieczorem, siedząc w ławce na lekcji, prawie zasypiałam i myślałam właściwie tylko o tym, by wrócić jak najszybciej do domu i odpocząć. Często ze zmęczenia nie rozumiałam co mówi nauczyciel, słowa nie docierały do mojej świadomości i oceny, które otrzymywałam na zakończenie, nie określały poziomu mojej wiedzy, a jedynie obecność na zajęciach. Nie pamiętam jak wyglądała nasza szkoła pod względem organizacyjnym, ile było klas, ilu było uczniów, czy była to szkoła podstawowa pełna itd.

Przez cały okres mojej edukacji w Polsce odczuwałam dotkliwie luki w wiedzy podstawowej spowodowane sześciolatnim okresem przerwy w nauce.

39. CZY-TO NIE SEN ?

Pierwszy maja 1946 r. to szczęśliwy dzień naszego wyjazdu z Atbasaru do kraju. Skończyła się wreszcie nasza poniewierka. Podlegaliśmy żelaznym rygorom władzy, z którymi nie mogliśmy pogodzić się do końca. Ciążyły one nam niezmiernie, pragnęliśmy i wyczekiwaliśmy z utęsknieniem wolności i cywilizowanych warunków życia. Nadszedł wreszcie ten moment, ale radość nasza jest niepełna, znów czujemy to jarzmo wszechmogącej władzy - zostaje na poniewierce wiele rodzin, naszych znajomych, pozostaje wiele polskich dzieci, biednych sierot. Czy jeszcze kiedykolwiek będą mogli żyć w swojej ojczyźnie, cieszyć się wolnością i swoim krajem? Czy tam, daleko od rodzinnych stron będą się rodzić następne pokolenia ujarzmionych? Można się przyswyczać do takich niewolniczych warunków, ale nigdy nie można pogodzić się z takim losem. Ciągłe powraca myśl o wolności, pragnienie obudzenia się w innym świecie. Z takimi myślami wyjeżdżaliśmy, zostawiając tu wielu znajomych. Nie było ich przy transporcie w czasie wyjazdu, nie chcieli przeżywać tego momentu, było to ponad siły.

Do tej podróży szykowaliśmy się przez kilka miesięcy. Wiedzieliśmy, że czeka nas daleka droga, trwająca około trzech tygodni. Czas przednówka utrudniał zgromadzenie odpowiednich zapasów. Ponieważ starania nasze rozpoczęły się znacznie wcześniej, zdołaliśmy zgromadzić niewielkie zapasy świętego chleba, sucharów, kaszy i maki, nie naruszając ich przed wyjazdem, traktując jako celastną rezerwę.

Nocy poprzedzającej nie przespaliśmy w ogóle. Żegnaliśmy się z poses-

tającymi na zsyłce i mieszkańcami naszego domu. Kilka miesięcy wcześniej wyjechał nasz baletmistrz, został ukaskawiony i zwolniony z pozostałych lat zsyłki. Cieszyliśmy się i płakaliśmy. Rzeczywistość była zbyt piękna, wydawała się snem. Nie mogliśmy wprost uwierzyć, że następnego dnia pociąg będzie nas wiozł w kierunku naszego ukochanego kraju. Na spotkanie z ojcem nie miałam nadziei, pozostał więc jeszcze ten ból, ta nie gojąca się rana. Wywołując jego obraz w pamięci, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Doszły nas słuchy aż w Kazachstanie, że polscy jeńcy wojenni zostali zgładzeni. Jedni z Ostaszkowa - potopieni na tratwach, inni ze Starobielska i Kozielska - rozstrzelani.

Po Wincentym Lipieniu, moim ojcu, pozostały wspomnienia, kilka fotografii i jego imię i nazwisko umieszczone pod numerem 47 na długiej liście jeńców obozu w Ostaszkowie. Zamyka tę listę przerażająca w swej świętości i urzędniczej prostocie informacja: "Jeńców skierowane na śmierć 5 kwietnia 1940 r. podpis: Soprunienko" /Rzeczpospolita Nr 221 /2655/, 22-23 IX 1990 r., str.5/ Teraz wiem, że kiedy aresztowano nas w Frużanie 13 kwietnia 1940 r., mój ojciec nie żył już od kilku dni...

Nasze wagony stały na torach dokładnie w tym samym miejscu co sześć lat temu, tak samo urządzone, bydlęce. Brak było tylko piecyka do ogrzewania i gotowania. Było już ciepło, uważano więc, że jest zbędny. Wykorzystywano postoje do gotowania ciepłych posiłków. Nigdy nie wiedzieliśmy jak długo będzie trwała przerwa w jeździe. Każdorazowo trzeba było dowiadywać się o czas postoju. Bywało i tak, że ledwo garnki rozstawiono na ogniskach, a tu maszynista gwizdnął kilka razy, dając sygnał do odjazdu i pociąg powoli ruszał. Niewiasty z garstkami biegły za pociągiem, wsiadając do byle jakiego wagonu. Obsługa pociągu dobrze się tym widokiem bawiła. Zaśmiewała się pokaszając je palcami.

W wagonach jechało po tyle samo osób, podobnie jak przed sześciu laty, ale wolnej przestrzeni było znacznie więcej, gdyż poza pościelą i worczkami z żywnością nie mieliśmy żadnego bagażu.

40. NIE CZEKANO NA NAS

Podróż powrotna minęła szybko. Nie pamiętam nawet ważniejszych lub ciekawych wydarzeń, choć byłam o całe sześć lat starsza. Warto odnotowania był fakt, że w drodze powrotnej nie pilnowano nas. Nie towarzyszył nam krzyk bajców - żołnierzy z karabinami na ramieniu: "nu dawaj, dawaj, zakrywaj dziwery!" Nie sanykano nam drzwi w ogóle, nie podawano nam żadnych posiłków i nie było bajców z karabinami. Najczęściej jechaliśmy całymi dniami,

postoje odbywały się późnym wieczorem lub nocą, daleko od osiedli albo na bocznicach kolejowych. Miejsce w wagonie mieliśmy gdzieś w ciemnym kącie, do drzwi mama nie pozwalała podchodzić ze względu na bezpieczeństwo, więc poza wagonem nic nie widziałam. Miałam wielką ochotę na oglądanie mijanych krajobrazów, które tak bardzo różniły się w poszczególnych republikach. A przejechaliśmy niemały szmat drogi. ~~Kazachstan~~

Dojechaliśmy do Brześcia, który stanowił punkt graniczny. Brześć! Tak blisko jesteśmy swego miasteczka - Ptuzany! Do każdego wagonu wchodziło po kilka osób - Sowieców, sprawdzali dokumenty i zabraniali wychodzenia na peron. Po sprawdzeniu całego transportu natychmiast ruszyliśmy dalej. Nasuwało się teraz wiele pytań. Dokąd jechać i gdzie się zatrzymać? Straciliśmy przecież wszystko. Jak ułożyć życie od nowa? Wiemy, że transport jest kierowany na ziemie zachodnie. Przejeżdżamy codziennie wiele miejscowości. Pożwone zostały punkty żywienia. Dostajemy raz dziennie gorący posiłek i chleb. Jesteśmy wyczerpani i bardzo wygłodzeni. Ale nikt z nami nie rozmawia, nikt nas nie informuje o naszych dalszych losach. Odczuwamy bardzo boleśnie brak zainteresowania nami. Potrzebujemy pomocy a tu nic. Dojeżdżamy do Gniezna. Mama podejmuje decyzję, dość tej jazdy, wysiadamy! Kilka rodzin w wagonie waha się, w końcu wysiadają z nami. Są m.in. trzy siostry Żurkówny, matka ich pozostała w Kazachstanie na zawsze - nie żyła. Były w wieku ok. 17 lat najmłodsza - Jadwiga, 20 lat średnia - Irena i najstarsza Wacis - 24 lata. W czasie podróży bardzo polubiły mamę i postanowiły trzymać się razem.

Nasze dalsze losy tworzyliśmy sami, nikt nam nie pomagał, nikt na nas nie czekał. Jest to już inny rozdział mojego życia i wcale nie radosny, choć na ojczyźnej ziemi.

41. PIĘCDZIESIĄT LAT

Równa rocznica - pięćdziesiąt lat! Tyle właśnie minęło od naszej zsyłki i naszego rozstania z Ojcem. ~~Który~~ Mimo upływu czasu wspomnienia są nadal żywe, waruszające, wyciskające łzy z oczu i pozostaną na trwałe do końca życia.

W czasie rewizji mego domu w 1982 r. związanej z zatrzymaniem syna za roznoszenie ulotek, kiedy powiedziałam, że kojarzy mi się to z 13 kwietnia 1940 r. z datą rewizji i wywiezienia nas do ~~Syberii~~ Kazachstanu, funkcjonariusz UB odpowiedział: "Niech pani na zawsze o tym zapomni i nikomu tego nie powtarza, teraz wiem dlaczego wasz syn jest tak wychowany!"

Cieszy mnie więc fakt, że nadszedł czas /choć na pewno zbyt późno dla wielu, którzy już nie żyją/, że można, a nawet trzeba o tym mówić. Ma to

po prostu przetrwać dla pokoleń, ku radości i satysfakcji ludzi, którzy tyle przecierpieli. Ich niesprawiedliwy los, ich przeżycia będą znane jako dowód całkowitego bezprawia, jako dowód pastwienia się nad nasz narodem polskim. Cieszy mnie, że mogę dołączyć częśćkę swoich wspomnień.

Kończąc swoje wspomnienia, nie mogę uwolnić się od obaw, czy nasze następne pokolenia zdołają uniknąć podobnego losu. Czy przesładowania, jakie dotknęły moich dziadów, rodziców i ich całe rodzeństwo, a później nas dzieci, zakończą się właśnie na naszym pokoleniu. Przez długie lata ssyłki śmierci cierpiało tysiące ludzi, wielu z nich pozostało tam na zawsze, jedynie dla tego, że byli Polakami.

Proszę Boga, by ich ofiara była ostatnią.

Anna Makowska (z domu Lipień)

Kwidzyn, styczeń - marzec, październik 1990

*Anna Makowska
Chopina 9/3
82-500 Kwidzyn
rej. Eldag.*

ANEKS

1. Nazwiska ^{zapamiętanych} osób przebywających z nami na szczytach

1. /?/ BANAS - matka z synem Marianem /Atbasar, kwiecień - maj 1942/
2. /?/ BATOR - matka z córką w wieku 12 lat, mieszkali z nami w Atbasarze,
3. /?/ DRZAŻYŃSKA - matka z dwoma synami w wieku szkolnym /kołchoz Thaelmann, kwiecień - maj 1940; kółchoz sowchoz Czuzaksandyk, sierpień 1940/
4. /?/ FEDOROWICZ - mężczyzna lat około 30-35, mieszkał z nami w ostatnim roku masowego pobytu w Atbasarze,
5. /?/ FRĄCKOWIAK - matka z dwoma synami w wieku szkolnym /kołchoz Thaelmann, kwiecień - maj 1940; sowchoz Czuzaksandyk, sierpień 1940/
6. /?/ GÓRNIK - matka z córką w wieku 7-8 lat /Atbasar, kwiecień - maj 1942/
7. /?/ ~~BRZEKOWICZ~~ - starsze małżeństwo z synem w wieku około 25 lat
/?/ GRYGOROWICZ /kołchoz Thaelmann, kwiecień - maj 1940/
8. /?/ KAZIMIERCZAK - matka z esworgiem dzieci - dwie córki i dwóch synów /Atbasar, kwiecień - maj 1942/
9. /?/ KOWALIK - matka z córką Kazimierą i synem Zdzisławem, który wstąpił do Armii Andersa / Atbasar, kwiecień - maj 1942/
10. /?/ KRASZEWSKA - matka /niewidoma/, dwie córki w wieku 16 i 18 lat i syn w wieku 15 lat / Atbasar/
11. /?/ KRĘŻŁOWA - matka i dwie córki w wieku 16 i 18 lat. Matka zmarła w Atbasarze w 1944/
12. ~~KNEK~~ WANDA LIPIEŃ - matka z trojgiem dzieci: Alina, Anna /autorka niniejszych wspomnień/, Stanisław,
13. /?/ NADSTAWEK - matka z synem i córką, która mając 18 lat wstąpiła do armii Berlinga i zginęła w walkach o Warszawę. Syn po wyjściu z obozu sowieckiego w 1944 lub 1945 zmarł na gruźlicę w Atbasarze /
14. /?/ PIEKARSKA - matka z córką Basią w wieku około 2 lat /kołchoz Thaelmann, kwiecień - maj 1940; sowchoz Czuzaksandyk, sierpień 1940/
15. HELENA PIETRASZEWSKA - matka z córką Ireną w wieku około 3 lat /kołchoz Thaelmann, kwiecień - maj 1940; sowchoz Czuzaksandyk, sierpień 1940/

16. /?/ PRUSZYŃSKA - matka z małym synkiem w wieku około 3 lat / spotkaliśmy się w kwietniu, w transporcie do Kasachstanu; z całego wagonu zapamiętałam tylko ją,
17. JADWIGA ŻOŁOBOWSKA - matka z dwoma synami - jeden wstąpił do armii Andersa, drugiego nasza mama przywiozła w 1946 r. do Polski. Pani Żołobowska zmarła w 1943 r. w Atbasarze na dżyntyę,
18. /?/ ŻURKO, matka z trzema córkami: Heleną /22 lata/, Ireną /20 lat i Jadwigą /17 lat/. Matka zmarła w Atbasarze w 1941 r. Córki wróciły do Polski, mieszkają w Gnieźnie.

24 Kalendarium wydarzeń

- 1939 r., wrzesień - pożegnanie z ojcem,
- 1940 r., 13 kwietnia - aresztowanie i wywózka,
- 1940 r., kwiecień - maj - kolchoz Thaelmann,
- 1940 r., maj - czerwiec - pierwszy sowchoz,
- 1940 r., lipiec - sierpień - drugi sowchoz,
- 1940 r., sierpień - Czuzaksandyk,
- 1941 r., sierpień - wyjazd z Czuzaksandyku,
- 1941 r., wrzesień - kolchoz Iszymka k. Atbasaru /ok. 25 km/,
- 1942 r., kwiecień/maj - wyjazd z Iszymki,
- 1942 r., kwiecień/maj - osiedlenie się w Atbasarze,
- 1946 r., 1 maja - wyjazd z Atbasaru do kraju.

SPIS TREŚCI

1. Pożegnania z ojcem	1
2. Ranek 13 kwietnia 1940 r.	4
3. Wielka niewiedoma	5
4. Spotkanie	6
5. Ural	9
6. I co dalej ?	10
7. Thaelmann	11
8. Sarska Choroba	13
9. Upodlenie	15
10. Przejazdem	16
11. Koniec świata	18
12. Czuzaksandyk	19
13. W oczekiwaniu na naszą mamę	22
14. Nadejście zimy	24
15. Kazachowie	28
16. Do roboty !	31
17. Głód	35
18. Za chlebem	36
19. Amertia	39
20. Step	41
21. Zima w koźchozie	43
22. Studnia artezyjska	49
23. Atbacer	50
24. Atbacer po raz drugi	51
24. Pierwsze samodzielne mieszkanie	54
25. Pani Jadwiga Żozobowska <i>(Z. Żozobowska)</i>	56
26. Wiera Suworowa	58
27. Szpiedzy w Kazachstanie	59
28. Zahodzierno	60
29. Jeńcy wojenni	65
30. „Szczudła”	66
31. Wpadka	67
32. Obós pracy	68
33. Trudny przednówek	71
34. Nieszczęścia chodzą parami	73
35. Oj, pani... ..	74
36. Pan Fedorowicz	75
37. Koniec wojny	76

38. Radość i smutek	77
39. Czy to nie sen ?	79
40. Nie czekano na nas	80
41. Pięćdziesiąt lat	81
Aneks	83

© INSTYTUT WSKRZENIE

Zaświadczenie szkolne Anny Lipień (obecnie Makowskiej) ur. 1929 r. wydane w Albasarze, obwód Akmoleński - Karachstan. Do szkoły uczęszczałam około dwóch miesięcy. Przesyłam ten dokument ze względu na wyszczególnione przedmioty, jeżeli nas uciono oraz jako dowód mego pobytu w Karachstanie.

Protokół aresztowania naszej rodziny (zauważona jedna mała cegółka).

Lipień Wanda 1898
Lipień Alina 1925
Lipień Anna 1929
Lipień Stanisław 1939 (z czerwcą)

Na odwrocie protokołu widnieją trzy podpisy: mojej mamy (która ze zdenerwowania końcówką swego nazwiska napisała po rosyjsku), pani Julii Driewicz, w której mieszkaliśmy ostatnio i ostatni podpis pracownika NKWD, który dokonał rewizji i sygnował nakaz aresztowania - 13 kwietnia 1940 r.

Metryka śmierci Jadwigi Żelubowskiej ur. 1892 r., zmarła 5 lipca 1943 r. w Albasarze, obwód Akmoleński - Karachstan. W Albasarze przebywała wraz z nami (tj. rodziną Lipieńów) od roku 1942. Zmarła na derynterę. Mieszkała w sąsiedztwie (naprzeciwko naszego domu) wraz z synem Jurkiem w wieku około 12 lat. Drugi syn zaciągnął się do armii Andersa (imienia jego nie pamiętam). W obawie przed chorobą zakaźną, która trwała około 3 tygodni, p. Żelubowska została przez wojsko gospodynią usunięta z domu do chlewika (obok chatupy). Opiekowała się nią moja mama w miarę swoich możliwości. Kilka dni przed śmiercią przysłała p. Żelubowską do szpitala. Po jej zgonie Jurkiem zaopiekowała się moja mama, wpisując go do dowodu osobistego jako czwarte dziecko. Przyniesła go do Polski w roku 1946. Po przekroczeniu granicy oddała go pod opiekę wychowawców wiozących sieroty polskie.

Jurek Żelubowski, syn Jadwigi Żelubowskiej. Po jej śmierci w roku 1943 adoptowany przez Wandę Lipień (moją mamę) i przyniesiony do Polski w 1946 r., następnie (po przekroczeniu granicy) przekazany pod opiekę wychowawców wiozących sieroty polskie. Kontakt z nim utrzymywany był do roku 1950 (w przybliżeniu). Zdjęcie (siedzący i udający lekara) przesłane ze szwedzkiego szpitala, do którego przybył jako chory (na gruźlicę) żołnierz, odbywający czynną służbę wojskową. Gdzie przebywa obecnie, czy żyje - tego nie wiem.

ПРО

На основании ордера Народного

№ 109 от 13 Авг

веден обыск у гр. Метель

по ул. Менделеевской

При обыске присутствовали

Метель

и соседи Девицкая

Согласно ордера арестован

Метель В. И. со всей своей

семьей (всего 7 человек)

в Народный Комиссариат Внутренних Дел БССР

следующее:

Детей не обнаружено.

© ARCHIWUM WSKAZANE

II 16057 I konting

Исх. № 111
Иванов И.И.

объект и заключающиеся по мнению
руководителя и заместителя

внесенных в протокол: *Иванов*

Примечания

После производства обыска опечатано

характеристика опечат. квар. или комн.

Подпись лица, у которого производится обыск

Подпись представителя домоуправления или
других присутствовавших лиц:

Подпись сотрудника НКВД, производящего обыск-арест

Все заявления и претензии должны быть занесены в протокол

За всеми справками обращаться в ком. по
ордера, день его выдачи, когда был произ-

ден обыск.

В. Анфимов 1940 года

ССРС ІШКІ ІСТЕР

ХАЛЫҚ КОМИССАРИАТЫ

АЗАМАТТЫҚ ХАЛ

АКТЫ БӨЛІМІ



НАРОДНЫЙ КОМИССАРИАТ ВНУТРЕННИХ ДЕЛ СССР
ОТДЕЛ АКТОВ ГРАЖДАНСКОГО СОСТОЯНИЯ

ӨЛІМ ТУРАЛЫ КУӘЛІК
СВИДЕТЕЛЬСТВО О СМЕРТИ

№ 100

Азамат Гр. Жармағалиев Азамат
фамилиясы, аты, әкесінің аты—фамилия, имя, отчество

Умер(ла) 5
айы, күні, жылы, жазыпта, сипрмеиде толтырылады—прописью и цифрами
елді, бұл туралы азаматтық хал актысының өлім
число, год, месяц

О чем в книге записей актов гражданского состояния о смерти за

туралы 194 ж. г. 12 күні числа 1942 айындағы

тіркеу кітабына тиісті жазу жүргізілген

месяца произведена соответствующая запись под № 123

Өлген жері

каласы город Астана өлкесі край Астана

селені селение Астана облысы область Астана

Место смерти

ауданы Астана с. советі Астана

район Астана с. совет Астана

Жасы және өлімін себебі

Возраст и причина смерти 82 ж. 9 айындағы

Тіркелген жері

Место регистрации Астана

194 ж. г.

М. О.
М. П.

ЗАГС бюросының меңгерушісі
Завед. бюро ЗАГС

Іс жүргізушісі
Делопротоколитель



